

SOMO-SIERRA

przez

ANDRZEJA NIEGOLEWSKIEGO.

W POZNANIU

NAKŁADEM N. KAMIENSKIEGO I SPÓŁKI.

1854.



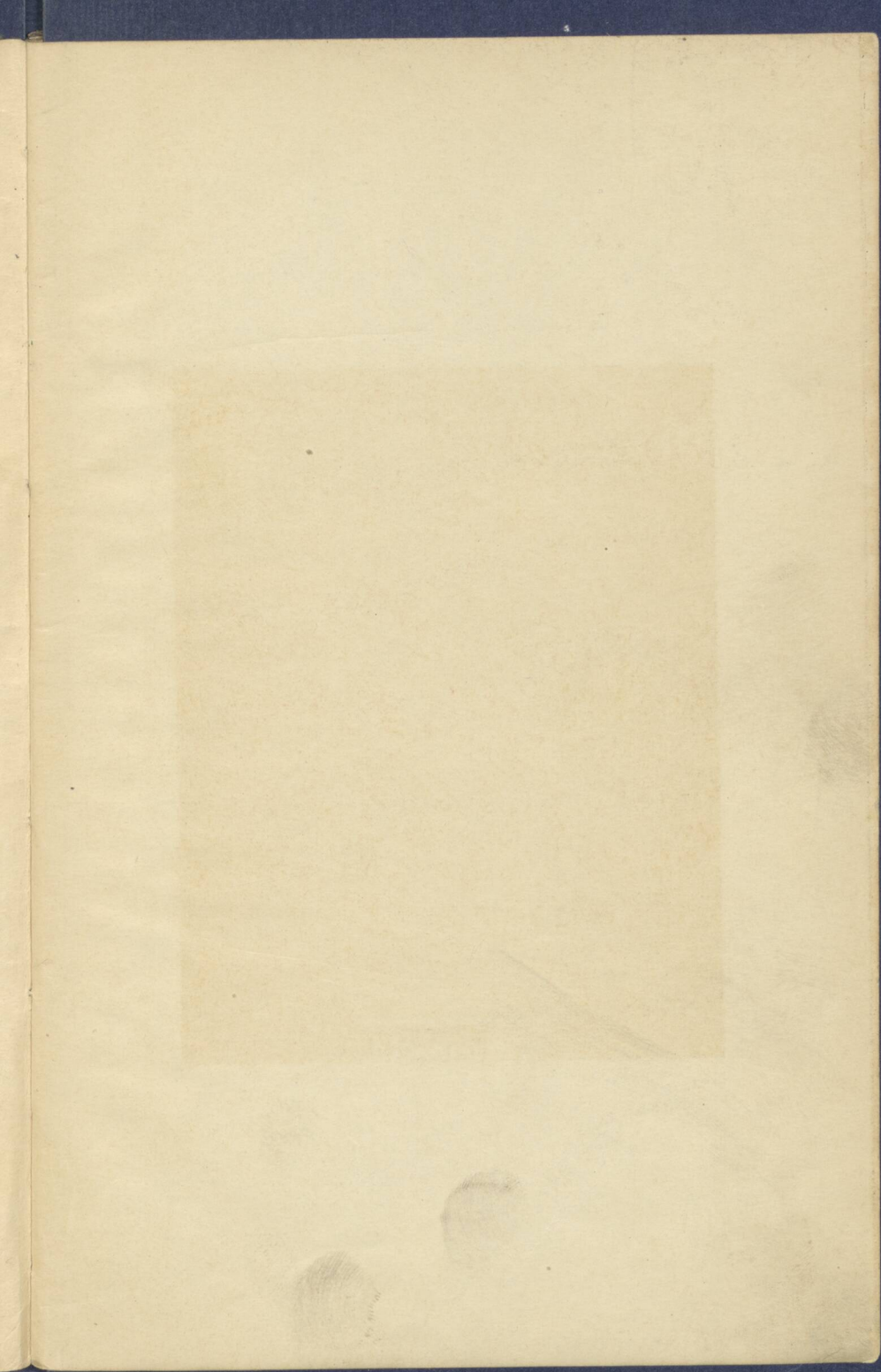
112027

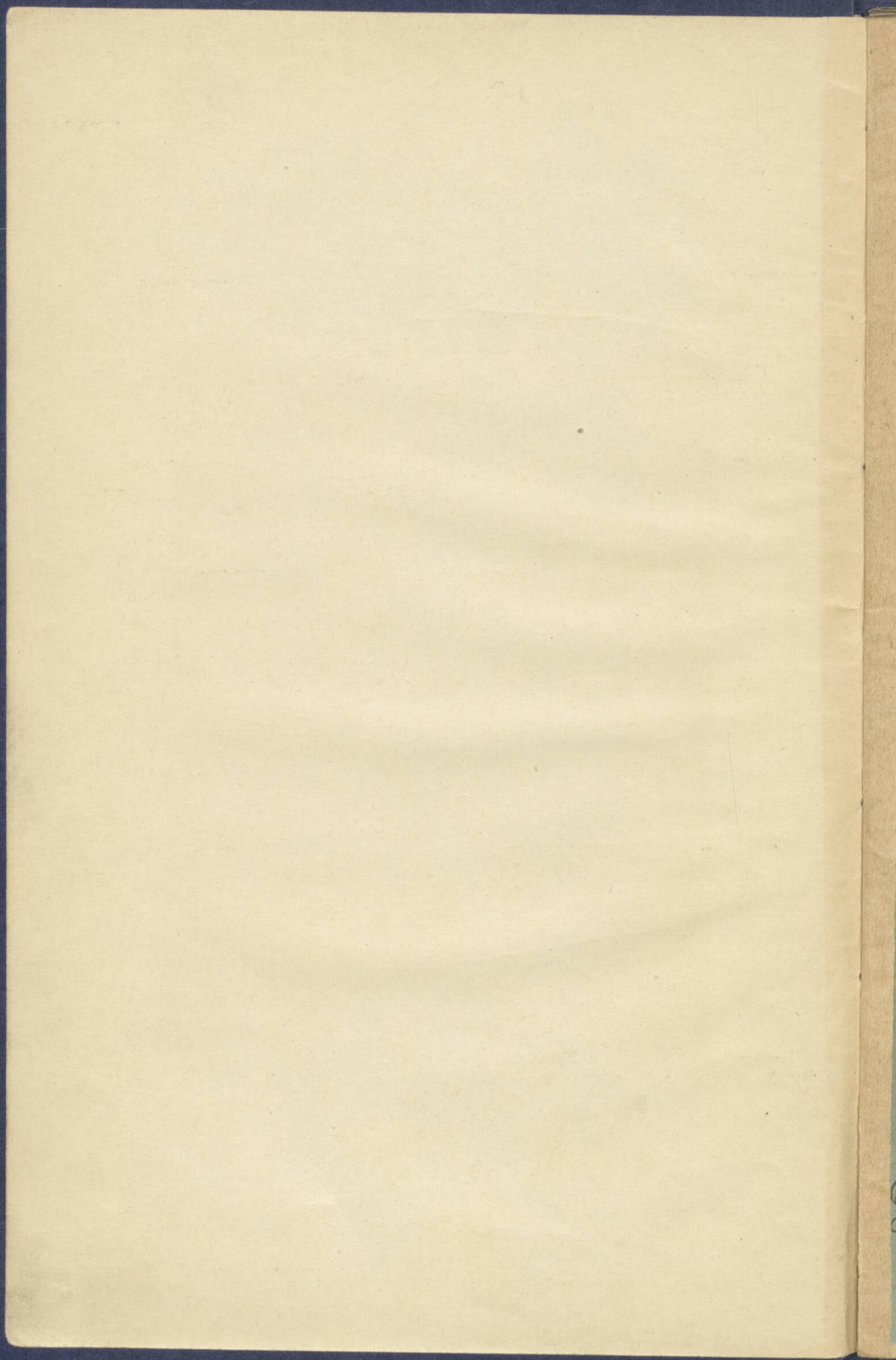
Wypożycza się
tylko do czytelní



BIBLIOTEKA
DRA JANA RYMARKIEWICZA
ZE ZGORZELIC

z Gornania.





B. Lwowski
112027. II

SOMO-SIERRA

przez

ANDRZEJA NIEGOLEWSKIEGO.

B. Lwowski

W POZNANIU

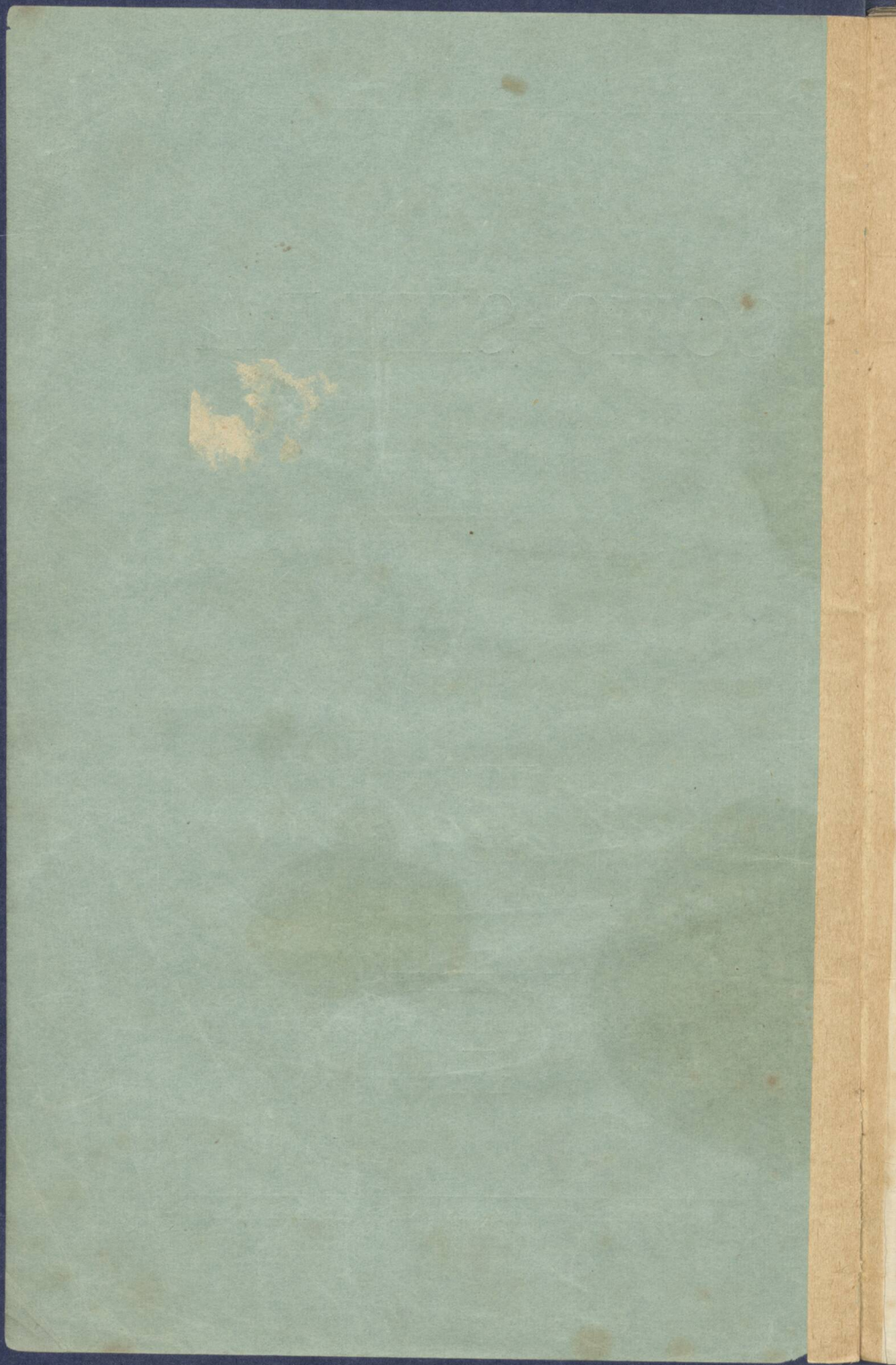
NAKŁADEM N. KAMIENSKIEGO I SPÓŁKI.

—
1854.

344

Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu, ul. Berlińska Nr. 32.

1.



SOMO-SIERRA

przez

ANDRZEJA NIEGOLEWSKIEGO.

W POZNANIU

NAKŁADEM N. KAMIENSKIEGO I SPÓŁKI.

1854.

SOMO-STIERA

ANDRZEJA MIŁOJEWSKIEGO

112 027-II



W. BOŻANOWICZ

KAZIMIERZ M. KAMIEŃSKI

1922

1922.16922 a

Szanowny Kolego.

Wyciągnę z Twych pamiętników opisujący batalię pod Somo-Sierra, do uzupełnienia i recenzji przesłany mi na ręce pani B., ucieszył mnie nad wszelkie wyrażenie.

Cóż też nam może być miłszego nad pamiątkę lat młodości w której poświęciliśmy życie nasze na ołtarz ojczyzny? Jeżeli takowe w ofierze za sprawę świętą nie padło, to nie nasza, ale Najwyższego taka wola była! Życie nasze ocalone, tem większą na nas wkłada powinność, by czyny towarzyszków naszych śmiercią bohaterską poległych do potomności bez zwały przeszły, a historia naszego pokolenia następcom naszym przekazana, świadczyła, że pokolenie nasze, choć mu się nie udało wyswobodzić drogięj matki z niewoli, zawsze się z honorem z powinności na sobie ciężących, wywiązało. Z tego to stanowiska wychodząc, szanowny kolego nie mogłem

zcierpieć, aby nam Thiers bitwę pod Somo-Sierra, własność naszą, krwią polską okupioną, wydierał, a do tego nawet niesławę na oręż polski rzucał. Zrobiłem przeto stósowną w téj mierze do niego reklamacyą. Zwycięztwo jakie odniosłem, zniewalając historyka konsulatu i cesarstwa do przyznania się do fałszu, jest w dzisiejszym mym wieku nowém zwycięztwem choć tylko na papierze, jak była sama szarża w młodości, z tą wprawdzie różnicą, że teraz jedenaście ran nie odebrałem. Poznasz jednakowoż z listów mój kolego, że się ich i teraz nie obawiał, gdyby bowiem Thiers nie był uznał méj reklamacyi za słuszną, byłbym jechał do Paryża i do odszczekania kłamstwa go zmusił. Prawda, że jeszcze zupełnie memu życzeniu zadosyć nie uczynił, lecz raz uzyskawszy przyznanie się jego do fałszu, jeżeli żądaniu memu nie odpowie, całą korespondencyą z nowym listem wydrukuję i celu mego dopnę.

Odpis korespondencyi z Thiersem i jenerałem Krasińskim, którego chciałem jako byłego dowódcę pułku do wystósowania reklamacyi do Thiersa zpowodować, od czego go jednak, jak mi napisał, obecne jego stosunki wstrzymały, przesyłam Ci. Może ona jako materiał do Twych pamiętników posłużyć. Chcąc przecież zupełnie życzeniu Twemu zadosyć uczynić, nie poprzestaję na przesłaniu Ci téjże, gdyż ona nie wystarcza ani do uzupełnienia ani do recenzji Twych pamiętników, czego odemnie żądasz. Trudno abym się mógł być wdawać we wszystkie szczegóły pisząc do Francuza, który śmiał nam nawet sam czyn bohaterski wydierać; szczegóły te nie byłyby go zajęły.

Co innego z Tobą mój kolego, Tobie nie mogą one jako Polakowi nietylko być obojętnymi, ale jako historykowi muszą nawet być pożądanymi, zwłaszcza że słusznie utrzymujesz, iż wszystkie do tych czas istniejące opisy są niesprawiedliwe. A zkąd się teraz prawdy dowiedzieć, kiedy z téj małej garstki jednego szwadronu, któren szarżę wykonał, nie wielu sławę którą się okrył, przeżyło — a z tych iluż to jeszcze żyjących, zwłaszcza że i tak z oficerów do końca szarżujących, ja jeden tylko licznemi ranami okryty, jeszcze przy życiu. Któż jeżeli nie ja ma świadczyć o bohaterach Somo-Sierry, któremu nietylko szarża sama ale dzień batalii, szczególnym dla mnie trafem był to właśnie dzień Ś. Andrzeja mego patrona, jest mi tak pamiętnym, że każda chwila tak mi jest obecną, jak gdyby to dzisiaj się stało a nie w roku 1808.

Nie chcąc Ci w mym opisie nie oprócz szczerój prawdy podać, ograniczę ile możności moje opisanie na tém, czego byłem naocznym świadkiem.

W wilią batalii 29go, szwadron 3ci pułku naszego przeznaczony na służbę do cesarza odprowadził go do Bocequillas, gdzie chasseury i grenadiery przy nim służbę czyniły. Poczém szwadron nasz stanął za wsią Bocequillas a górami Somo-Sierra, na których był rozłożony obóz około 13,000 Hiszpanów, pod dowództwem generała don Benito San-Juan (nie Arazagi jak mniemasz).

Przed górami trzymała ostatnią straż naszą, piechota francuzka. Pierwszy i drugi szwadron zaś pułku naszego został na noclegu z resztą gwardyi konnej, za wsią Bocequillas, gdzie była główna kwatera. Tego dnia to jest

29 byłem na sam wieczór wysłany z plutonem w tył głównej kwatery na reconnaissance, z kąd wracając widziałem się z porucznikiem Kruszeńskim z 8miej kompanii, który później w jednej z potyczek pod Dreznem w roku 1813 nogę straciwszy, na rękę moją w Dreźnie umarł. Z nim pomijałem się na konia: dałem mu pięknego wystawnego bułanego kusego, a wziąłem od niego kasztanowatego dońca, dodawszy nawet do tego niepozornego ale dzielnego rumaka, kilkanaście napoleonów, tak jak żebym przeczuwał, że mi wkrótce nie wystawny ale mocny koń będzie potrzebny.

Rano, bardzo rano, 30 listopada, kiedy jeszcze wszyscy oficerowie nie byli powstawali, ujrzałem cesarza konno nadjeżdżającego. Porucznik Krzyżanowski jeszcze spał: bardzo trudno mi go było obudzić, oblałem go wodą, lecz i ta ledwo zdołała sen jego twardy przerwać, tak jak gdyby przeczuwał, że to już ostatni sen chwilowy, który wkrótce śmierć bohaterska na wieczny zamieni. Cesarz pojechał w niejakiem oddaleniu na reconnaissance naprzód ku góróm. Powróciwszy zsiadł z konia i usiadł na stołku przy ogniu, któren pod drzewem zapalono. Powiadano mi, że w ten czas, kiedy cesarz przy ogniu siedział, jeden z naszych chevau-legerów przedzierał się w pośród orszaku cesarskiego do ognia, by sobie fajeczkę zapalić, od czego w bliskości stojący generałowie go wstrzymywali. Cesarz widząc to, miał powiedzieć: *laissez le faire*.

Chevau-leger fajeczkę zapalił. Jeden z obecnych oficerów miał mu za to kazać cesarzowi podziękować, na co chevau-leger w przekonaniu, że nie na próżno nasi tak

blisko gór Hiszpanami obsadzonemi stanęli, powiedział, co ja tu mu mam dziękować, ja mu tam (wskazując na góry) podziękuję.

Czy cesarz teraz już powziął myśl zdobycia wąwozu naszym szwadronem, nie wiem, dość że na dany rozkaz szwadron nasz udał się pod same góry i stanął w kolumnach plutunowych na gościńcu w bliskości przekopu przez Hiszpanów na nim zrobionego, aby tém niedostępniejszy uczynić wąwoz już i tak podług wyobrażeń ludzkich nie zdobyty, a za którym don Benito San-Juan w pozycji ze wszech innych stron nieprzystępnej z swemi 13,000 Hiszpanów obozował. Dla mgły gęstej, która na krok niczego nie pozwoliła rozpoznać, stanęliśmy prawie przed samemi baterjami hiszpańskimi, które nas też kartaczami przywitały. Nie mogąc jednak Hiszpanie nas rozpoznać, nikogo też z naszych nie ranili. Warczące nad głowami naszymi kartacze spowodowały mnie młodogo, żem się do kolegów obok mnie stojących odezwał: ej gdyby cokolwiek byli niżej wzięli, byliby nas przetrzebili, na co porucznik Runowski powiedział, bądźże cicho, bo nas po głosie mogą poznać. Z pewnością nie spodziewał on się, że za kilka godzin nie jego kartacze w mgle, ale on ich szukać będzie i śmiercią walecznych polegnie, zdobywając armaty, które teraz, nas tylko przywitały.

Wkrótce potem kapitan Dziewanowski powołany do generała Montbrun, przednią strażą dowodzącego, wraca do nas i pyta się na kogo z oficerów kolég służby, gdyż generał kazał wysłać oficera z plutonem na prawo w góry dla powzięcia języka. Naraz dały się słyszeć głosy „kolég na Niegolewskiego.“ Byłem naj-

młodszy oficer i dla tego podług zwyczaju wojskowego słusznie czy niesłusznie wszystko, zwłaszcza kiedy był twardy orzech do zgryzienia, na najmłodszego zwalano. Przekonany przecież będąc, że nie na mnie kolój, gdyż kilka godzin dopiero com był z reconnaissansu wrócił, powiedziałem to kapitanowi, oświadczając mu jednako-
 woz, że pomimo tego chętnie pójdę, jeżeli mi pozwoli wybrać sobie żołnierzy. *Dziewanowski* zezwolił na me żądanie. Wybrałem sobie chwatów za najdzielniejszych w kompanii znanych. Jakie to zuchy były, każdy sobie łatwo wystawi kto znał pułk nasz, gdzie już żołnierz w żołnierza był chwat z chwatów, czego późniejsza szarża najlepszym dowodem. Żałuję że teraz po upłynionym prawie pół wieku nie mogę wszystkich wymienić. Pamięci mój tylko są obecni: wachmistrz *Wasilewski*, podoficerowie *Sokołowski*, *Wojciechowski*, żołnierze *Stefanowicz*, *Ryndejk*o, *Norwiłło*, *Kasarek* i *Poniński* z *Wielko-Polski*, z pod *Gniezna*.

Z wybranym tym hufcem udałem się w góry, gdzie drogi nie było i tylko gdzie niegdzie między skałami ścieżki prowadziły. Po nich to po dwa a najczęściej po jednym koniu przedzierać się trzeba było, a do tego gęsta mgła nie przed sobą rozpoznać nie dozwalała. Nad głowami tylko słychać było gwar ludu, szczęk broni, ale oko nic nie ujrzało. Piękne to położenie patrolu konnego szukającego języka! Rozkaz przecież wykonany być musiał. Nie zważając przeto na położenie tak krytyczne, tylko coraz dalej się przedzierając, nadszedłem nareszcie do wioski, w której kazałem kilku żołnierzom z konia zsiść i o jakąkolwiek żyjącą duszę się postarać. Napró-

żno, żołnierze powracają z oświadczeniem, że żywego ducha we wsi nie masz. Chcąc nie chcąc szedłem dalej do drugiej i trzeciej wioski. Wszędzie pusto, wszystkie domy pootwierane, wszystkich mieszkańców już ztamtąd piechota francuzka z dywizyi Lapissa w swym pochodzie do Sepulweda, gdzie oddziały przedniej straży Hiszpanów stały, wypłoszyła. W jednej tylko z tych wiosek napotkaliśmy na stado indyków. Głodni jak byliśmy, ostrząc języki nasze na ich widok chętniebyśmy się z nimi byli rozprawili i na chwilę o szukaniu języka, gdyby nie położenie nasze, zapomnieli, ale tak musieliśmy się tylko ich widokiem nasycić i dalej ruszać. Przedzierając się coraz dalej, nadszedłem nareszcie do wioski przed którą stała hiszpańska piechota: ilu ich tam było, nie wiem. Byłem ich bowiem tak naszedł, że dla mgły gęstej ani oni mnie ani ja ich prędkiej nie mogłem rozpoznać, aż dopiero kiedyśmy o krok przed sobą stanęli. Hiszpanie wystrzelili, lecz nikogo nie raniwszy, do wsi w górach skałami otoczonej wrócili się, dokąd ja ich gonić nie chciałem. Nieświadomemu bowiem pozycyi nie pozostawało nic więcej, jak zakomenderować, *demi tour à droite* i w odwrot się puścić. Unikając wszelkiego boju, wracałem tą samą drogą, którą przyszedłem. W odwrocie spostrzegam, że mi z moich żołnierzy Ponińskiego brakuje. W tém widzę go goniącego mnie, trzymając na karym swym koniu przed sobą Hiszpana z okrzykiem „panie poruczniku, a widzi go pan? szelma Carajo chciał mi uciec, ale go trzymam!”

Nie usłuchał Poniński żołnierz nadzwyczajnej siły i nieustraszonej odwagi, méj komendy do odwrotu, ale



wpadł między Hiszpanów, schwycił z nich jednego za kark, wciągnął na swego konia i nie poniosłszy żadnego szwanku przywiozł mi go. Możesz sobie wystawić jenerale mą radość z tak szczęśliwój zdobyczy w tak trudném położeniu. Hiszpan zaś ze strachu ledwie co oddychając, pada na kolana i woła „Sennor por l'amor de dios ne me mata usted!“ Taka to była wojna nasza w Hiszpanii, gdzie ani my przez represalie ani Hiszpanie jeńcom nie przepuszczali, tylko każdego zabijali, a fanatyzm Hiszpanów posunął ich do okrucieństw podobnych jakich się na nas Murzyni na San - Domingo dopuszczali. Nosy, uszy, języki wyrzynali, co więcej między dwie belki włożywszy jak deski rznęli. Po wszystkich téż nieomal drogach w pochodzie naszym do Somo - Sierry napotykalismy wiszących już to Hiszpanów, już to naszych. Tą razą przecież Hiszpan niepotrzebnie się o swe życie obawiał, gdyż mi nie o wyrwany ale o żywy jego język chodziło. Obawiając się przeto żeby mi ze strachu nie umarł, uspakałem go jak mogłem i prosiłem żołnierzy aby go ugłaskali i otrzyźwili. Groźne ich postawy naraz najłagodniejsze przybrawszy miny, Hiszpanowi, to głaszcząc to mu wódkę w usta lejąc, otuchy dodawały. Szczęśliwie nareszcie z zdobytym językiem do szwadronu wróciłem. Oddaję Hiszpana Dziewanowskiemu z oświadczeniem że Ponińskiemu winien jestem zdobycz, którą sam z szeregów hiszpańskich wyrwał. Kapitan odprowadził jeńca do jenerała i wrócił z żądaniem abym Hiszpana sam do cesarza zaprowadził. Będąc bardzo zmęczonym i mając do tego popręg który mi był pękł do naprawienia, prosiłem go aby mnie od tego zwolnił. Sam przeto D z i e -

wanowski Hiszpana do generała Montbrun odprowadził którego przez adjutanta swego cesarzowi oddał.

Zaradny adjutant sam sobie zdobył języka, jak mi później powiadano, przypisał i za to krzyżem ozdobiony został a o Ponińskim który później w roku 1810 w Arandzie w pojedynku których miał bez liku z Francuzami zginął, ani pomyślano. Najwymowniejszy dowód prawdziwości przez Ciebie przytoczonych słów: *haec alter fecit, honores alter tulit*. Kiedy Francuz wydarł Ponińskiemu wawrzyn przez niego zdobyty, to niechaj pamięć przynajmniej o nim nie zaginie. Nie podobno też abym pisząc o Somo-Sierze o nim nie wspomniał. Jego czyn należy z pewnością do tych, które mogły Vernet'a natchnąć, do obrazów wystawiających *chevau-legerów* polskich.

Mityczna tylko ich odwaga czyniąc ich prawie idealnemi żołnierzami, mogła malarza natchnąć do ucielesnienia ich ducha pędzlem.

Trzeba też oddać Vernetowi sprawiedliwość, że w obrazach swoich *Grand-Garde de Lanciers Polonais* i *Lanciers Polonais en Cantonnement*, w pięknym ciele *chevau-legerów* piękną ich duszę szczególnie oddał; nie dzikość ani brutalne żołdactwo ale przeciwnie łagodność połączona z szlachetną dumą i nieustraszoną mężnością w rysach marsowych, silnych i mocnych, swych żołnierzy wystawiając. Przytém z zamysłonej ich twarzy widać że pojął artysta uczucia które głąb ich duszy poruszały i do drogi sławy, cudów waleczności dokazując, prowadziły. Oby *chevau-legery* które nie tylko Francuza artystę ale i Polaka natchnęły, który jako godło

pod swą ryciną wystawiającą chevau-legera na koniu, trafny i treściwy wiersz umieścić:

„Po całej prawie ziemi pod obcymi znaki,

Dla swego tylko kraju walczył żołnierz taki“

znalazły i historyka któryby ich czyny historyi narodu polskiego przekazał.

Po powrocie moim z reconnaissansu już się oddziały piechoty francuzkiej na skały po lewój i prawój stronie wąwozu drapały. Czy marszałek Victor sam oddziały te po lewój a szef sztabu jego Sémélé, po prawój stronie z dobytą szpadą pieszo prowadzili, nie wiem, lecz mi się zdaje że tak nie było, gdyżby z pewnością byli Francuzi o tém głosili a ja nigdy tego, ani słyszałem ani czytałem. Zawsze przecież niesłusznie do wyrazu pieszo jak z jego podkreślenia w Twym pamiętniku wnoszę wagę przywiązujesz, inaczej bowiem dostać się jak pieszo nie mogli, o czém się sam przekonałem będąc tam na reconnaissansie. Oddziały te które przeznaczone były aby piechotę hiszpańską po prawój i lewój stronie wąwozu między skałami ustawioną, by z swych zajętych tam stanowisk wąwoz tém niedostępniejszy uczynić, wypłoszyły, musiały tylko z skały na skałę się wdrapywać. Piechota hiszpańska nie zbyt mocno się opierając, cofała się za góry, gdzie obóz don Benity San-Juan znajdował się a do którego Francuzi tylko przez ten później tak wstawiony wąwoz dostać się mogli. W téj ich pozycji mieli się Hiszpanie za niewyciężonych. Junta centralna nawet się z Aranjuez nie ruszywszy, wszystkie siły około Madrytu zgromadzone, tam dotąd wysłała, w przekonaniu że żadna siła bramy téj Madrytu samą swą pozycją silną,

skoro nadto dobrze obwarowaną będzie, nie jest w stanie zdobyć. Wszystkie przeto wysilenia francuzkie miała Junta i miał don Benito za próżne, w przekonaniu że nigdy cesarz gros swój armii tą drogą nie przeprowadzi a innej drogi do Madrytu, skoro nie chciał iść na Guadaramę kilka marszów na lewo wawozu, zostawiając po za sobą obóz Hiszpanów, nie było. Na obwarowanie przeto tej tarczy po za którą za niezwyciężonych Hiszpanie się mieli, całą swą uwagę wyteżyli. Wawoz ten był też, tak jak go istotnie Hiszpanie obwarowali, podług pojęć ludzkich niezdobyty. Pominąwszy bowiem jego cieśninę między wysokościami skalistemi pod górą prowadzącą, pominąwszy że nietylko po lewój i prawej jego stronie ale i na samym jego szczycie piechotą był najeżony, był wawoz ten kręty cztery razy (nie trzy jak Ty mniemasz) łamany a w każdym tém zagięciu czterema armatami uzbrojony, tak że nietylko na szczycie i po obu stronach najeżona piechota ale w ogóle szesnaście armat piętrami ustawione, paszcze swe na nas rozdziawiwszy przystępu do niego broniły i wszystko też co się na gościńcu pokazało, zmiatały.

Co tutaj zresztą przed wawozem w czasie méj niebytności zaszło, nie wiem i dla tego o tém co mnie tylko z opowiadań doszło, nie wspominam. Nie mogę jednak tego przepomnieć, co mi później opowiadano, że w czasie tym kawalerya francuzka o zdobycie wawozu się miała kusić, lecz tylko kusić, gdyż rzęśisty grad kul armatnich który z góry ich ledwie co atak rozpoczynających przywitał, miał im być oraz hasłem do odwrotu. Powtarzam przecież że nie widziawszy tego, prawdziwości faktu nie zaręczam. Zupełnie bez przyczyny jednakowoż wieść ta

być nie mogła, kiedy i G o r e c k i w swym znanym wierszu o tem wspomina.

Co się zaś tyczy piechoty francuzkiej to ta miała być początkowo do wzięcia wąwozu przeznaczona. Grad przecież kul z góry spadający, który wszystko co się na gościńcu znajdowało zmiatał, musiał przecież wkrótce cesarza przekonać że piechotą wąwozu nie zdobędzie. Morderczy ten z gór ciskany ogień nie tylko nie pozwolił piechocie francuzkiej kusić się o zdobycie wąwozu ale nawet wstrzymał ją od zrównania faszynami wyżej wzmiankowanego przekopu na gościńcu. Jak się bowiem później szarżując przekonałem, przekop dostatecznie nie był zrównany i tylko przeskoczony być musiał: szczęściem że nie był zbyt szeroki. Kto wie bowiem czyby szarża była się mogła udać, gdyby Hiszpanie przekop szerszy byli zrobili.

Tak jak nie wiem co zaszło przed wąwozem w czasie mego reconnaissansu, tak też nie wiem co się działo u mego szwadronu od mego powrotu aż do samej szarży. Oddawszy bowiem Hiszpana D z i e w a n o w s k i e m u, poszedłem cokolwiek w bok szwadronu aby konia czémprędzej rozkulbaczyć i popręg poprawić. Kilku żołnierzy którzy co dopiero z patrolu zemną wrócili mając już to również mniej więcej coś do naprawienia, już też by mi być pomocnymi, udało się za mną. Tu nadmienię muszę że porucznik K r z y ż a n o w s k i przyjechał do mnie kiedyś był konia rozkulbaczył, winszując mi szczęśliwego wypadku reconnaissansu i mówi do mnie: widzisz, cesarz przyjechał, zaraz się wykaże albo pójdziemy naprzód albo cesarz nakaże odwrot, i wrócił do szwadronu. W tém

ledwo com konia okulbaczył i popręg poprawił, już spostrzegłem szwadron pod górę kolumną marszową czwórkami pod dowództwem szefa szwadronu Koziedulskiego gościńcem pędzący. W jaki przeto sposób rozkaz szwadronowi do ataku był dany, mianowicie czy cesarz sam jak mówisz przywołał Koziedulskiego i pokazując mu armaty do niego rzekł: „allez avec votre escadron et prenez moi ces canons“ nie wiem. Co się tyczy méj osoby, to jak już nadmienilem, żadnego rozkazu nie słyszałem. Widząc przecież szwadron mój pędzący pod górę, czémprędzej wsiadłem na konia i z żołnierzami którzy się na bok zemną byli udali pospieszyłem by jak najprędzej złączyć się z szwadronem, zwłaszcza że jeszcze nie miałem czasu plutonu mego odebrać. Szwadron dogoniłem kiedy już był wpadł do wąwozu i już był zabrał pierwsze piętro armat i pędził dalej bez najmniejszego zatrzymania się i bez żadnego porządku wojennego, któren dla cieśniny nawet był niepodobnym. Wszyscy pędzili wśród ogromnego ognia tak kartaczowego z przodu jak z lewój i z prawój strony wąwozu i samego jego szczytu, z ręcznej broni przez piechotę na nas w tę cieśninę ciskanego, jeden drugiego przy odgłosie „vive l'empereur“ wyprzedzając, by najprędzej na szczyt wąwozu się dostać i na nieprzyjaciela natrzeć. I tak lotem błyskawicy pędząc padł w prawdzie pierwszy, drugi za pierwszym, trzeci za drugim ale następujący nie uważając na poległych i ciągle spadających kolegów, już każde z czterech pięter z jego czterema armatami rąbiąc w pędzie kanonierów, jedno po drugim zdobywał, nie pozwalając żadnej baterji, jak tylko raz wystrzelić. Które téż ledwie

co były wystrzelily, już były nasze. Piechota zaś sama na szczycie gór stojąca, atakiem naszym tak natarczym przestraszona, uciekła. Tak w kilka minut przeszkoda prawie nie do zwyciężenia uchylona, droga cesarzowi i jego armii do Madrytu otwarta i utorowana.

Wzięcie téj bramy Madrytu, w obóz hiszpański 13ty-sięczny tuż za wąwozem stojący taki paniczny przestrach rzuciło, że już nie myśleli o stawieniu czoła armii cesarza na drodze przez nas utorowanój, postępującój ale wszyscy jak mogli bez najmniejszego porządku uciekali. I tak wszystkie chorągwie, wszystkie armaty, wszystkie wozy amunicyjne, kasa, jedném słowem cały obóz prawie, bez wszelkiój walki w ręce Francuzów się dostał. Strach tylko zwyciężył Hiszpanów, który ich po przełamaniu tarczy za którą się za niezwycięzonych mieli, przejął.

Wzięcie téż tego wąwozu, którym zasłonięci za niezwycięzonych się mieli, nietylko obóz Hiszpanów oddało w ręce cesarza ale popłoch nie do opisania na cały kraj rzuciło i siłę moralną Hiszpanów która po kapitulacyi pod Bajlen Duponda nadzwyczaj się podniosła, tak dalece iż po całym kraju śmiało powstanie podnieśli, naraz w dumnym tym narodzie szarża nasza zniszczyła. Centralna Junta z Aranjuez mająca się za ową tarczą, za bezpieczną teraz dopiero przestraszona, uciekła. Tak to cesarz bez żadnego prawie oporu do Madrytu wszedł. Słusznie przeto Thiers księgę XXXIII opisującą kampanią w 1808 r. w Hiszpanii godłem Somo-Sierra uczcił, kiedy wzięcie wąwozu tego przez szwadron nasz nietylko armią hiszpańską w ręce cesarza oddało ale nawet na los całej kampanii wpłynęło.

Taka tylko szybkość i nieustrasżoność z jaką chevau-legery szarżę wykonali, mogła cudu tego waleczności dokazać. Wszelkie zatrzymywanie się w ataku byłoby dało czas do powtórnego nabicia armat, któreby i tak naszą małą garstkę były tak przetrzebiły, żeby nas było przybra-kło do zdobycia pozostałych baterii. Nie jest zatem prawdziwą a tém samém nie historyczną wzmianka Twa o zatrzymywaniu się szwadronu.

Prawda, że dopędzając szwadron a dopędziłem go po zdobytéj pierwszej baterii, zastałem kilku żołnierzy między innymi, gdyż mi to bardzo dobrze w pamięci zostało, i Konopkę z 7mój kompanii na kasztanowatym koniu z białą grzywą, skupionych w zagięciu, w którém pierwsze piętro armat ustawione było. W pierwszej chwili ogromnego ognia zatrzymali się oni tam po za szwadronem dalej pędzącym. Widząc mnie obok nich pędzącego galopem na jaki tylko mój doniec mógł się być zdobyć, wołali na mnie „panie poruczniku, panie poruczniku nie jeździj, bo tam bardzo strzelają!“ W mgnieniu oka przecież gdy widzieli żem nietylko na ich przestrożę nie zważał ale przeciwnie rzuciwszy im kilka ostrych słów z wykrzykiem „en avant vive l'empereur“ w jednéj chwili jużśmy się złączyli ze szwadronem. Może to była ta chwila w którój podług Twych pamiętników szwadron się miał zatrzymać i która może nie jednemu z przypatrujących się dała powód do mniemania tak rozpowszechnionego że szwadron się zatrzymał, co że być nie mogło sam z pewnością, teraz przyznasz.

Raz przecież przypuściwszy zatrzymanie się szwadronu w szarży, uznałeś za najstósowniejsze przypuścić

takowe w chwili, kiedy pod Koziedulskim konia ubito. Chcąc przeto porządek w szarży wprowadzić, powiadasz że po nim Dziewanowski komendę objął i z szwadronem zatrzymanym atak ponowił. Prawda że Koziedulskiemu na początku szarży konia ubito i że tenże w skutek tego z szeregu nacierających nie mogąc szwadronu pieszo gonić cofnął się. Prawda że komenda ze starszeństwa Dziewanowskiemu przypadła. Nieprawdziwem przecież jest żeby się szwadron po ustąpieniu Koziedulskiego miał w szarży zatrzymać, dla tego też niestosowném o obejmowaniu komendy wspominać. Wspominanie nawet o podobnej formalności w opisie szarży somo-sierskiej, rzecz samą w nieprawdziwém świetle wystawia. Pominąwszy bowiem że o zatrzymaniu mowy być nie może, mogłoby się z Twego opisu zdawać że w czasie szarży był do formalnego obejmowania komendy czas, kiedy ta lotem błyskawicy wykonaną została. Szwadron raz puściwszy się pod górę przy odgłosie: *en avant, vive l'empereur*, innéj komendy nie słyszał i nie potrzebował. Wszyscy tam bowiem, kapitan, porucznik, żołnierz jednym zapałem zagrzeni, jeden i ten sam odgłos wydając, jednym pędem nie zważając ani na cofnięcie się Koziedulskiego ani téż na poległych i ciągle padających oficerów, kolegów, wóz zdobyli i w pędzie samym armaty zdobywając, kanonierów nie zatrzymując się, rąbali. Nie chcę ja tu bynajmniej zmniejszać sławy którą się okrył Dziewanowski. Z pewnością jeżeliby kto chciał udział w szarży dzielić: jemu największy dział przypada ale nie w skutek komendy którą atak z zatrzymanym szwadronem miał ponowić, tylko

w skutek stanowiska jakie w szwadronie zajmował, nie ustępując nadto z hufca mimo ran odebranych aż dopóki siły mu tylko starczyły, i ciężko ranny nie padł, porwał za sobą szwadron który do niego jak do ojca był przywiązany. Równie nie wprawdziwém świetle wystawiasz szarżę, kiedy zbyt szczegółowo starasz się opisać porządek w jakim wykonana została, jak n. p. kiedy o szłowaniu wspominasz. Raz szarżę rozpoczętą ten szłował którego koń do tego zagnął. Najlepszym tego dowodem że ja, pomimo że już po rozpoczęciu szarży do wąwozu przypadł, wkrótce nie tylko nie byłem ostatni ale prawie do pierwszych zapędziłem. Dobrze sobie przypominam porucznika Rowickiego o który już obok mnie pędząc wołał „Niegolewski trzymaj mi konia bo mi się zbiegał, nie mogę go wstrzymać!“ na co mu odkrzyknąłem „puszczaj go.“ Już też młody ten oficer z nikim więcej nie mówił bo zaraz potem ujrzałem go spadającego z konia. Był to drugi z moich kolegów, któremu zabitego widział. Między pierwszą a drugą baterią widziałem leżącego Krzyżanowskiego o którym wyżej wspominałem.

Porucznika Rudowskiego, którego również zginął, w czasie szarży ani żywego ani poległego nie zoczyłem. Kapitana Dziewanowskiego, którego nogę miał od armatniej kuli zgruchotaną, jeszcze widziałem aż u trzeciego piętra po lewej stronie wąwozu. Kapitan Piotr Krasieński był rażony ciężką kontuzją w piersi ale bez rany i żebra mu (jak mylnie powiadano) nie wyjęto. Kiedy został do ustąpienia z szeregów zniewolony, nie wiem. Z wszystkich oficerów szwadronu, którzy tę szarżę czwar-

tego piętra wykonali, ja jeden nie odniosłem na mém cieiele żadnego szwanku, ale mój koń, mój mundur, ładownica, czapka wszystko to ucierpiało od kul karabinowych swiszczących na wszystkie strony. Jak po ustąpieniu szefa Koziędulskiego, tak i teraz lubo Dziewanowski leżał zwalony z konia, przecież resztki szwadronu nie zatrzymały się ale tym samym pędem zdobyły i czwartą baterią. Za tą już otwierał się niejaki przestwór między górami. Na widok koło budynku zebranej piechoty hiszpańskiej w kupce, po lewój stronie gościńca, wstrzymałem konia w miejscu. Dotąd bowiem nie zatrzymując się ni nie oglądając się wpadłem do wąwozu, pędziłem z okrzykiem *en avant, vive l'empereur* w śród gradu kul. Postrzegłszy tu przy sobie kilku *cheval-legerów* a za sobą wachmistrza Sokołowskiego na kulawym koniu, zawołałem: „gdzie nasi?“ Sokołowski odparł: „poginęli!“ Wielu legło istotnie, drudzy konie potracili, inni zostali w tyle, inni jeszcze pędząc z góry rozpierzchli się na prawo i na lewo, gdyż już, jak powiedziałem, był jaki taki przestwór między górami. Piechota hiszpańska z boku ciągle nas razila, przy owój zaś baterii czwartej, po za nami stało jeszcze kilkunastu hiszpańskich kanonierów. Krzyknąłem: „Sokołowski uderzmy na nich“ i uderzyliśmy z tą garstką. Hiszpanie uciekli, a ~~tych~~ Sokołowski powiększył swą śmiercią liczbę poległych w tym boju kolegów. Nie widziałem koło siebie i owych kilku *cheval-legerów*. W tém koń krwią plużący padł podemną od strzału działowego: w oka mgnieniu kilku Hiszpanów uciekających nawróciło a dwóch z karabinów mi do głowy przyłożonych dało

ognia. Kule atoli opieką nademną Wszechmocnej Opatrzności, ograniczyły się na zadaniu mi tylko ran ciężkich. Rzadko komu tak z bliska śmierć zaglądała w oczy. Wiedziałem karabiny na głowie, słyszałem obadwa strzały, poczułem mdlenie, ale jednak rozumiałem Hiszpanów wołających *à la dretsha à la dretsha, arriva arriva* (na prawo na prawo, na góry na góry). W téj chwili dziewięć razy pchnięto mnie bagnetem, obrano z pieniędzy a konia zostawiono na mnie. Razy bagnetów ocknęły mnie w bólu i sprawiły żem się poczuł przy życiu i wrócił do zupełnej przytomności umysłu. Otoczony Hiszpanami, w obawie by mnie u nich los zwyczajny jeńców to jest śmierć w mękach nie spotkała, nawet odetchnąć nie śmiałem. Wkrótce słyszeć się dały coraz głośniejsze bębny i okrzyki *en avant, vive l'empereur* i naraz ujrzałem naszych i *chasseurs* francuzkich.

Twój opis trzeba mi tu o tyle sprostować, że drugie szwadrony *chevaux-legers* nie zaraz po owym trzecim i walecznie już poległym następowały; w takim bowiem razie z kądże wspólnie ze Sokołowskim i kilku tylko naszego pułku żołnierzami byłbym mógł być przyjść do ucierania się z kanonierami. I gdyby owe szwadrony już były nadeszły toć owi dwaj Hiszpanie, co mi karabiny do głowy przyłożyli, byliby już siedzieli między górami ale nie na gołaźni zostali. Widoczna że drugie szwadrony naszego pułku dopiero po wzięciu przez nas wąwozu, były za nami wysłane. Uwaga ta zdaje się tu potrzebną dla tego, że chodzi aby czyn jednego szwadronu nie był mylnie kilku przypisywanym, bo wtedy bezprzykładna waleczność garstki, zesłaby tylko na spełnienie zwykłego

obowiązku przez pewną dostateczną liczbę wojska. Historycy u których opisy boju na Somo-Sierry czytałem, wyjąwszy Twych pamiętników, wystawiają, że kilka szwadronów wąwoz zdobyły a Thiers nawet śmiał ten trzeci szwadron, który to zwycięstwo tak drogo krwią opłacił, nazwawszy go pierwszym, posadzić o rozprężenie i odwrot bez rozkazu a więc poniekąd o ucieczkę. Chcąc z nim krótki proces zrobić, zażądałem od niego aby mi kogokolwiek z innego jak naszego szwadronu, rannego lub zabitego w zdobywaniu wąwozu wymienić. Ty mówisz wprawdzie że jeden nasz 3ci szwadron wąwoz wziął, dodając przecie, że zaraz za nami wasze szwadrony postępowały: łatwobys więc mógł czytelników w błędzie rozpowszechnionym utwierdzić. Nie chcę ja tu bynajmniej, jak się samo przez się rozumie, innym szwadronom waleczności odmawiać, gdyż przeciwnie jestem przekonany, że każdy inny szwadron pułku naszego, tym samym duchem co my na Sierry zapędzony, byłby się równie dzielnie jak nasz popisał. Że zaś istotnie już po zdobyciu wąwozu inne szwadrony za nami postępowały, najlepszym i to dowodem, że na wąwozie samym nikt z tych szwadronów ani zabitym ani rannym nie był. Powiadano mi zaś później że Jeziołkowski żołnierz z Igo szwadronu, po wzięciu przez szwadron nasz wąwozu, w pogoni ze swym szwadronem a za uciekającymi Hiszpanami, napotkawszy rozbitą kasę hiszpańską, która jak powiedziałem w ręce się naszej armii dostała, uznał pistolety już za zbyt ciężkie, wyrzucił je z olster a miejsce ich zappełnił unsami złotymi hiszpańskimi za które w kraju dobra sobie kupił. Skoro nasze szwadrony, które wszy-

stkie wojsko francuzkie poprzedziły, nie miały z kim walczyć, tylko uciekających goniły, to tém mniej miały do tego sposobność wszelkie inne oddziały wojska francuzkiego. Zwracam Ci w tém miejscu uwagę na chwilę w której mnie ostatecznie poraniono. Przypuszczając błędnie jakieś zatrzymywanie się szwadronu w szarży i wystawiając, że po naszym szwadronie zaraz inne naszego pułku nacierały, nie możesz sobie wytłómaczyć zkąd u mnie rany bagnetami. Korzystasz przeto z twych przypuszczeń i pokłucie moje umieszczasz w chwili jakiegoś zwolnienia i zatrzymywania się w szarży, kiedy przeciwnie takowe już ku końcowi szarży przy zdobywaniu ostatniej baterii nastąpiło. Prawda, że wszystko to stało się w jednej chwili, nigdy jednakże przypuszczać nie można aby szwadrony wasze a tém mniej Francuzi którzy dopiero za nimi wąwozem postępowali jakiś, by najmniejszy udział w tém uderzeniu byli mieli.

Po téj wycieczce recenzyjnój wracam na pobojowisko. Widząc jak już powiedziałem pędzących naszych i chassëurów francuzkich, chciałem głowę podnieść lecz nie mogłem. Oddech przecież mając wolny, miałem nadzieję, że godzina moja jeszcze nie wybiła, zacząłem wołać, żem nie zabity a będąc do tego obdartym, wiedząc że na porucznika tyle nie zważano ile na kapitana, wołałem żem kapitan i prosiłem żeby się zmiłowali i konia ze mnie, który mnie gniótl, ściągnęli. Nie musieli nasi słabego głosu mego dosłyszeć, nie zatrzymawszy się bowiem, wraz z chassëurami przelecieli. Tuż nadeszły za nimi wołtżery francuzkie przy odgłosie mi pamiętnym „allons, cela ira bien camerades.“ Ci dopiero konia ze mnie ściągnęli

i na moją prośbę pod czwartą baterią mię zanieśli i płaszcami nakryli. Dwóch nadeszłych chirurgów rany mi opatrzyło, lecz niedługo po ich opatrzeniu krew z ran w głowie pod bandażami mocno płynąć zaczęła. Kilkunastu żołnierzy, którzy konie swe potracili, zebrało się około mnie. W tém nadjechał marszałek Bessieres, któremu byłem od czasu obozu naszego pod St. Maria osobiście znany. Na zapytanie: kto tam leży, powiedzieli mu żołnierze: porucznik Niegolewski. Marszałek zsiadł z konia, przybliżył się do mnie i rzekł: „jeune homme, l'empereur a vu la belle charge des chevaux-legers, il saura apprecier votre bravoure,“ na co ja mu, wskazując na armaty przy których leżałem: „Monseigneur je me meurs, voilà les canons que j'ai enlevé, dites cela à l'empereur.“

Wkrótce nadjechał cesarz i krzyżem legii honorowej mnie zaszczycił. Pierwszy to był krzyż, który się pułkowi naszemu był dostał. Ja najmłodszy oficer pierwszym go jako chevau-leger zdobył, a do tego zdobyłem go sobie w dzień moich imienin. Pierwszy to raz było, żem od ojca nie dostał wiazarka na imieniny, ale za to dostałem go z rąk cesarza, za krew dla ojczyzny w dniu imienin przelaną i jeszcze płynącą. Bodaj kto inny mógł w dniu imienin piękniejszy wiazarek dostać. Jakież to uczucie serce młode unoszące.

Bandaże, któremi już po drugi raz rany były opatrzone, nie zdołały krwi biegu zatrzymać i już mnie zaczęły zmysły odchodzić. W tém nadszedł do mnie porucznik od grenadierów gwardyi Villeneuve z którym się w czasie méj z nim wspólnéj służby przy cesarzu w Marrac pod Bayonną, bardzo zaprzyjaźniłem; dobył ma-

nierki i nalał w usta araku, mówiąc: „pauvre diable te voila... tu ne ferras plus tes farces,“ słyszałem i rozumiałem co mówił, alem już nie mógł odpowiedzieć.

Dziwny los przeznaczenia, Villeneuve już miał mnie za zabitego, ja tym czasem zdrów żyję, a on bez boju, w strzelaniu odwracających się i uciekających Hiszpanów tego samego dnia zginął.

Jakim sposobem czaszka moja nie zgruchotana, jakim sposobem bagnety w mém ciele utopione, z niego życia nie wypędziły, nie pojmuję; w Styxie mnie przecież nie kapano.

Wkrótce po nalany mi w usta araku, którym mnie cokolwiek Villeneuve otrzeźwił, nadeszła karetka naszego pułkownika Wincentego Krasińskiego i do Buytrago mnie zawiozła, gdzie już zastał Dziewanowskiego ambulansem gwardyi przywiezionego.

Tak oficerowie co udział w szarży téj mieli jak Krzyżanowski, Rudowski, Rowicki zabici, Dziewanowski i ja licznemi ranami okryci, Piotr kapitan Krasiński zkontuzyonowany, a w ogóle poległa większa połowa, jakkolwiek urzędowy bulletin francuzki podaje tylko dwóch rannych oficerów i jakąś małą liczbę szeregowych zabitych.

Zadziwiającem wtedy było to, że wachmistrz Wasilewski który przy rozpoczęciu szarży na czele szwadronu w pierwszej czwórce jechał, wyszedł nie tknięty, a koniowi jego tylko trzy przednie zęby wyrwał kartacz. Skoro więc uważano za jakiś cud że jeden żołnierz uszedł rany, to się pokazuje, co sądzić o rzetelności owczesnych bulletinów.

Co się tyczy oficerów to więcej do szeregu szarżujących jak podałem, nie należało. Obstałem przy tém com do Thiersa napisał, a tym czasem prostuję Twoją wzmiankę o Szeptyckim i Zielonce. Ostatni do szarży należał, lecz jeszcze nie jako oficer. Gdyby bowiem już był wtenczas oficerem, byłbym go, będąc w tym samym szwadronie, musiał znać, a jam go dopiero później poznał. Dobrze sobie także przypominam, że w wilią szarży wszyscy oficerowie szwadronu jedli razem polewkę migdałową, którą Krzyżanowski na kolacyą ugotował; Zielonki przecież między nimi nie było. Szeptycki zaś który był wprawdzie porucznikiem w naszym szwadronie, był właśnie ile sobie przypominam i o czém Ty wspominasz, w czasie szarży do marszałka Bessiers odkomenderowany.

Iluz to Francuzów nie szczyliło się, że jako ochotnicy z nami szarżowali. Co o tém sądzić, nie wiem, ale to wiem, żem ani jednego nie widział. Najwięcej jeżeli Segur historyk opisujący kampanią 1812 roku do szarżujących się przyczepił.

Mniejsza zresztą o pojedyncze nazwiska, zwłaszcza kiedy nie mogę każdego z osobna żołnierza 3go szwadronu po upłynionym już prawie pół wieku wymienić. Oprócz bowiem szefa szwadronu Koziedulskiego śmiertelnie ранnego, kapitana Dziewanowskiego i ciężko zkontuzjowanego kapitana Piotra Krasińskiego, poległych oficerów Krzyżanowskiego, Rudowskiego, Rowickiego, wachmistrza Sokołowskiego, podoficera Wasilewskiego i żołnierzy Ryndejki, Stefanowicza, Norwiłły, Kasarka, Ponińskiego

przypominam sobie jeszcze tylko wachmistrza Wojciechowskiego i Tedwena. Nie mogąc przeto każdemu z osobna, wymieniając jego nazwisko, czci należnej oddać, zdaje mi się być stósowném zwrócić uwagę na historią przed somo-sierrską tego teraz tak sławnego szwadronu, aby okazać, że to nie starzy wyćwiczni żołnierze, ale młodzi po pierwszy raz w ogniu będący Polacy, szarżę tę wykonali.

Szwadron nasz, po uformowaniu go w Warszawie, wyruszył wprost ztamtąd pod komendą kapitana Dżewanowskiego do Francyi. W czasie naszego pochodu bardzo mało ogarnął jeszcze duch wojskowy nasz szwadron kiedy oficerowie do żołnierzy jeszcze nie inaczej jak przez waspan przemawiali. Szwadron nasz bowiem składał się po większej części z żołnierzy wykształconych z domów wysokich i bogatych. Taki jego skład wpływał w ogóle na pewne względne obchodzenie się oficerów z żołnierzami. Dopiero od Moguncyi ustało tytułowanie żołnierzy waspanem.

W mieście tém bowiem kazał mi kapitan Dżewanowski iść po szwadron na fortecę, który tamże w koszarach stał i takowy za miasto wyprowadzić, gdzie się z nim wraz z drugimi oficerami miał złączyć. W skutek tego poszedłem do fortecy i rozkazałem szwadronowi, aby się czém prędzej przygotował, kazałem trąbić na koń. Kiedy już prawie cały szwadron na koniu siedział, kilku chevau-legerów pomiędzy nimi Nidermayer i Sorobabel, którzy sobie byli podpili, bardzo długo się guzdrali i nie siadali na koń; wpadłem na nich nie tytułując ich waspanem, wołając siadaj na koń, o co się

nadzwyczajnie mianowicie Nidermayer gniewali, szemrząc, że nie pojmują jak można do nich przez ty przemawiać. Natychmiast więc w skutek tego kazałem Nidermayerowi z konia zsiść i pieszo przed trębaczami maszerować. Przeprowadziwszy szwadron przez miasto złączyli się kapitan i oficerowie z szwadronem i mną. Zdałem mu raport (kapitanowi) i opowiedziałem mu zajęcie moje, w czém mi słusznosc przyznał. Poczém idąc chausseą nad Renem, Nidermayer pijany z oburzeniem na obchodzenie się z nim, szemrał. Idąc obraca się raz po raz, powiada że lepiej w Ren wskoczyć, jak tak być traktowanym, odgrazając się nareszcie że wskoczy w Ren, na co ja mu: a to sobie wskocz, a gdy mu na kilkakrotne jego zapytanie „a każe pan porucznik“ powiedział: za kark cię trzymać nie będę, nie namyślając się zrzucił kulbakę i w Ren skoczył. Co widząc żałując żołnierza, zwłaszcza że był pijany, umiając dobrze pływać, zrzuciwszy czapkę i odpasawszy czém prędzej pałasz, wskoczyłem za nim i na trawę, dokąd inni żołnierze mi do pomocy przyszli, wyciągnąłem go. Od tego to czasu ustało waspanowanie żołnierzy i wszyscy oficerowie przez ty do nich przemawiali. Po przyjeździe naszym do Francji udaliśmy się do Chantilly. Ztąd po kilku miesięcznym pobycie wysłano nas do Bayonny, aby tamże przy cesarzu służbę pełnić, dokąd tenże miał przybyć. Po swém tam przybyciu kupił cesarz villę Marrac pod Bayonną, gdzie upiększywszy ogród pracą żołnierzy gwardyi których miał przy sobie, założył główną kwaterę. Pod Marrac i nas wysłano z Bayonny. O ówieré mili od domu głównej kwatery szwadron nasz stał obozem, z kąd

co dzień jeden pluton na służbę pałacową był komenderowany. Cesarz kazał nam po raz pierwszy wystąpić w paradzie na przegląd, pour nous passer en revue. Szwadron stanął w ogrodzie en bataille. Kilka chwil potem przyszedł cesarz przyodziany w mundur grenadierów pieszych gwardyi w trzewikach i w pończochach na czele orszaku z wielu jenerałów a między innymi i jenerała Du Rosnel konjuszego. Major Delaitre Francuz był naszego szwadronu dowódcą. Chcąc się przed cesarzem popisać, zakomenderował swym bardzo słabym głosem jakiś zwrot. My mało znając komendy, jeszcze francuzkiej i nie dosłyszawszy komenderującego, obróciliśmy się jedni w lewo drudzy w prawo i okazała się wielka mieszanina. Cesarz splujnął ale bez okazania gniewu a potem rzekłszy: „ces jeunes gens ne savent rien,“ przywołał Du Rosnela, i oddał mu nas na naukę mustry by od samego początku szkołę kawaleryi z nami zaczął. Du Rosnel przywiązawszy się w krótcie do nas, z wielką gorliwością prawie podoficera wywiązał się ze swego obowiązku. Z każdym niemal żołnierzem z osobna zaczynał jak konia kulbaczyć, jak się pojedyncze przybory po francuzku nazywają. W kilka tygodni po owój sławnie odbytej rewii, daliśmy jednak cesarzowi sposobność powzięcia lepszego mniemania o nas, a miło mi sobie przypominać żem ja się do tego przyczynił. Rzecz ma się w ten sposób: w kilka dni po sprowadzeniu do Bayonny Ferdynanda VII, wybuchł tam w dwóch miejscach ogień. Rozeszła się zaraz wieść, że podłożony na sygnał Hiszpanom aby pod Bayonną wpadli na Marrac gdzie tylko prócz naszego szwadronu półtóry kompanii gwardyi pieszej było,

cesarza zabili i Ferdinanda VII uwięzili. Byłem wtedy na służbie z plutonem i miałem w karczmie naprzeciw pałacu ludzi moich. Na rozkaz, stanąłem przed pałacem, nawet bez trębacza, któremu się nie mógł być dobudzić. Cesarz z perronu domu oświeconego laterniami gestami odzywa się do grenadierów i chasséurow pieszych, którzy jeszcze z swych namiotów na trawniku przed pałacem nie byli wyszli, „allons vielles moustaches, vous êtes encore sous vos tentes, tandis que ces jeunes gens, qui n'ont pas encore de poil au menton, sont déjà à cheval,” przybliży się do mnie i pyta „avez-vous des cartouches?” na co ja mu „non Sire.” Cóż nam po nich było, kiedy nasze karabinki jeszcze innych skałek jak drewniane nie widziały. Na dalsze jego zapytanie „avec quoi me defendrez vous, si je suis attaqué?” odpowiedziałem „Sire nous avons des sabres.” Wtedy cesarz „c'est bon” i pewnie przypomniawszy sobie naszą rewiją miał zamiar przekonać się czy już lepiej zwroty wykonywamy i tak jak gdyby mnie był chciał w ambaras wprowadzić, stanąwszy tuż przed samym plutonem odzywa się do mnie „faites ouvrir vos rangs.” Nie mogłem kazać otworzyć szeregów zwyczajnym sposobem boby był musiał z miejsca spędzić lub wywrócić cesarza, zakomenderowałem więc: en arrière, ouvrez vos rangs. Po czém cesarz przeszedłszy szeregi, kazał je zamknąć i do pałacu wrócił. Przeszło godzinę z grenadierami i pieszymi chasséurami z których każdego tylko po pół kompanii było, stałem przed pałacem i dopiero gdy się przekonano, że ogień był przypadkowy, kazano nam wrócić na swe stanowisko. W godzinę potem przyniosła mi służba cesar-

ska kilka koszów wina i rozmaitego mięsiva oświadcza-
jąc „l'empereur vous envoie de quoi vous rafraichir,“
a przyniesiono nam tego wszystkiego tyle, że gdy sami
nie bylibyśmy mogli wszystkiemu poradzić, posłałem do
obozu, do D z i e w a n o w s k i e g o żeby z kolegami na śnia-
danie przychodził.

Służba pałacowa w Marrac dawała nam w ogóle spo-
sobność poznania cesarza, i u każdego nie jedno miłe
wspomnienie zostawiła. Byliśmy tam nietylko naocznymi
świadkami ważnych i stanowczych wypadków, aleśmy téż
mieli sposobność poznać cesarza w chwilach jego zabaw
i rozrywek. Wyjeżdżaliśmy, mając służbę z plutonem
jako straż przyboczna na przejażdżki kilku milowe za po-
jazdem cesarza, w którym prawie zawsze i cesarzowa Jo-
zefina była. Nie raz tam ten władzca świata figlami pra-
wdziwie młodzika, umysł swój rozweselał. Tak n. p. przy-
pominam sobie że raz w odnogę morską zwaną Chambre
d'amour wepchnął cesarzową, a gdy się zmaczała i trze-
wiki pogubiła, wziął je i wyrzucił. Chciałem je podnieść
i cesarzowej oddać, ale cesarz mi zakazał a ją tylko z poń-
czochami na nogach, do karety wsadził.

Inną razą cesarz z cesarzową zwiedzając fort Chat-
teau vieux nazwany, przeszedł przez płot, przez który
i cesarzowa idąc za nim, zachaczyła sobie w cierniu su-
knia z lekiój bardzo materyi. Że zaś z obowiązku mego
postępowałem pieszo z kilku żołnierzami za nimi, chcia-
łem cesarzową ze zachaczenia wydobydź ale jój suknią
bardziej w ciernie plątałem i prawie całą podarłem. Moja
ta niezgrabność bardzo mnie zmieszała, ale cesarz z cesa-
rzą śmiali się i żartowali ze mnie.

Z Marrac puściliśmy się po pierwszy raz na linią bojową do Hiszpanii. Tu w pochodzie naszym do Somosierry, mieliśmy sposobność przekonania się, że nie tylko z wojskiem regularném ale z całym krajem w jeden obóz obrócony mamy do walczenia. Wszędzie po drzewach, nad drogami wiszący Hiszpanie i Francuzi świadczyli o ogólném powstaniu. Będąc razu jednego z obozu pod St. Maria z licznym oddziałem może z kilku set ludzi złożonym do furazowania odkomenderowany, udałem się na wsie pobliskie. W oddziale kilku tylko żołnierzy miało pałasze i pistolety, wszyscy drudzy byli opatrzeni tylko w postronki i worki. W niejakiém oddaleniu od obozu zastałem na polu posieczony owies: kazałem części oddziału zsieść z koni i zabierać go. W tém nadszedł Hiszpan i ganił po co taki owies zabierać, jest we wsi w ziarnie, on mi go wskaże. Nie spodziewając się podstępny, zostawiwszy jedną część żołnierzy przy zbieraniu owsa, maszerowałem z drugą za Hiszpanem. Hiszpan zaprowadził mnie do dużej wsi, do której ledwo com się zbliżył, uderzono we dzwony i na ich odgłos i w pobliskich wsiach, równie dzwonić zaczęto. W skutek tego chałasu zbiegło się z wszech stron kilka set różnie ubranego i uzbrojonego ludu; obtaczano mnie ze wszystkich boków i byłem zniewolony spiesźnie się cofać. Ścigany, nadszedłem nareszcie za górę, gdzie się drogi rozchodziły. Obrachowałem żołnierzy którzy broń mieli, kazałem się zatrzymać pod górą, zgraję goniącą obejść i tył jej zabrać. Nie miałem więcćj tylko 30 w pałasze uzbrojonych lecz żołnierze których byłem zostawił do wiązania owsa, słysząc strzały i chałas, przybiegli mi w pomoc tak, że się

50 żołnierzy z pałaszami zebrano i eżém kto mógł Hiszpanów rąbał. Szczęśliwieśmy się téż téj zgrai nietylko obronili, aleśmy ze 60 do niewoli zabrali i przed sobą prowadzili. Prowadząc Hiszpanów wystrzelił na raz do mnie z pod krzaka owczarz i uciekł, owce zostawiwszy, któreśmy, nie goniąc owczarza, zabrali i razem z Hiszpanami przed sobą pędzili. Do obozu przecież owiec nie doprowadziłyśmy, gdyż jeden z kolegów moich kapitan Brocki później radzca stanu w Warszawie, ostrzegł mnie, że marszałek Bessieres będzie się o to bardzo gniewał i mogę być zdegradowany, gdyż zabierać nie wolno a z pewnością Hiszpanie mnie oskarżą żem ich rabował. Koledze opowiedziałem zdarzenie jak zaszło a chcąc ująć wszelkich tłumaczeń, kazałem owce zostawić. To co kolega mój przewidział, istotnie się stało, Hiszpanie oskarżyli mnie przed marszałkiem żem im owce zrabował. Łatwo mi było z podobnego oskarżenia się usprawiedliwić, które ile sobie przypominam z wielkim zapałem przed marszałkiem skutecznie rozgniewany na Hiszpanów, że nietylko podstępem mnie chcieli zgładzić ale nawet za me łagodne się z nimi obejście, gdyż gdybym był chciał, mógłbym ich był do jednego porąbać, jeszcze mnie o rabunek skarżyli. Rzeczywiście mimo méj wiedzy głodni żołnierze nie wszystkie owce puścili, lecz kilkanaście zabili i na drzewach pozawieszali, aby je w razie rewizyi, której spodziewać się mogli, ukryć. Gdy Bessiers w obozie owiec szukał, nie spodziewając się aby ich nie po ziemi ale po drzewach szukać należało, nie znalazł ani jednej. Dowiedziawszy się później o téj przebiegłości żołnierzy, nie mało się z niej Bessiers naśmiał

a myśląc że ja jój byłem sprężyną, kazał mnie po przeglądzie pułku w Bryviesca do siebie zawołać i powiedział do majora naszego pułku D'Autancourth „ce jeune officier c'est un fin merle; imaginez - vous, quand je cherchais des moutons q'il avait amené dans le camp, je n'ai rien trouvé, tandis que les moutons étaient pendus sur les arbres.“

Po pierwszy raz to było, że żołnierze mego szwadronu z nieprzyjacielem się spotkali, pierwszy i drugi bowiem szwadron przed złączeniem się naszym z pułkiem, już miały udział w batalii pod Riosecco, gdzie w lipcu marszałek Bessieres pobił generałów don Joaquin Blake i don Gregorio de la Cuesta.

Utarczka którąśmy teraz z Hiszpanami stoczyli, rzuca światło na charakter kampanii hiszpańskiej: świadczy o zapale Hiszpanów i o nienawiści jaką słusznie wszystkie warstwy ludności przeciw Francuzom jako ich kraju najeźdźnikom pałali. Służy ona za przykład wszystkim narodom, które nieszczęście spotkało dostania się pod obce jarzmo, którego zrzucenie z pewnością nie jest niepodobnym, skoro naród ujarzmiony duch taki ogarnie jaki ogarnął Hiszpanów, gdzie każdy pojedynczy mieszkaniec uważał się za żołnierza walczącego, i jak mógł z własnego popędu nieprzyjacielowi szkodził.

Po służbie naszej pałacowej w Marrac dostawszy się do kraju powstańczego, mieliśmy od razu z tyłu przeciwnościami w pochodzie naszym do Somo-Sierry do walczenia.

Ograniczam się na przytoczonych co dopiero okolicznościach; dostateczne one światło rzucają na historią

przed somo-sierrską szwadronu naszego, świadcząc, że szwadron nasz kilka miesięcy przed tém wcale nawet duchem żołnierskim nie ogarnięty, nietylko jeszcze w ogniu nie był ale nawet zwyczajnych obrotów mustry nie umiał, jako téż że miał z drugiej strony sposobność, pełniąc służbę przy cesarzu, którego geniusz umiał z każdój daněj pory korzystać by do siebie żołnierzy przywiązać, powziąć do niego zaufanie, że nadziei naszych nie zawiedzie i że wkrótce walcząc pod nim, ojczyznę oswobodzoną powitamy. Jego téż to osoby czarodziejski wpływ przypatrując się na szarżujących pod Somo-Sierrą nie mało się przyczynił do wykonania téj pamiętnój szarży.

Tak ten to szwadron, nie wyćwiczony w szkołach wojennych i kilka miesięcy przed tém nie umiejący nawet zwyczajnych obrotów mustry i nie znający nie dawno przed tém innych jak drewnianych skałek, wykonał teraz szarżę, którój podobną nietylko żaden naród się poszczycić nie może, ale która palmę zwyciężką wszystkim znanyim cudom waleczności odebrała, i na dowód we wszystkich szkołach wojennych przytaczaną bywa, że nie masz przeciwności którójby dzielna kawalerya jak polska pod Somo-Sierrą nie zdołała pokonać.

My tylko Polacy tę jak cud, prawie nie pojętą szarżę mogliśmy wykonać, my téż tylko ją teraz pojąć możemy, my których miłość ojczyzny nietylko na Sierry ale i do nowego świata zapędziła, w nadziei że walcząc pod Napoleonem, uważając go za zesłańca którego nieba nam dla przywrócenia ojczyzny dały, ojczyznę z jarzma wyswobodzimy i na wrogach naszych za ich na nas dokonaną zbrodnią zemścimy się, a światu całemu, który bez-

karnie na morderstwo nasze zezwolił, dowód naszej żywotniej siły damy. O ileż zapał nasz musiał tedy być uniesiony, kiedyśmy szarżę tę do tego pod okiem cesarza, tego mniemanego zesańca nieba i jego orszaku, tuż przy wąwozie na nas przypatrującego się, wykonali. Każdy przejeżdżający koło niego z Polaków pojął, że tu chodzi nietylko o jego własny honor, nietylko o honor szwadronu chrzest ognia pod okiem cesarza odbierającego, nietylko o honor pułku, ale o honor ojczyzny dla wyjarzmiienia której orzeł biały z orłem cesarskim sojusz zawarł.

Ta to miłość ojczyzny nasz naród nad inne cechująca przewodniczyła całej szarży lotem błyskawicy, wśród ogromnego ognia z przodu kartaczowego a z obu stron i z szczytu wąwozu z ręcznej broni ciskanego, wykonanej. Ona była jedyną naszą komendą. W jej to służbie każdy z nas gotów był cudów waleczności dokazywać, by czémprędzej świadcząc cesarzowi o sile narodu polskiego, wpoić w niego uszanowanie dla orła białego, w którego imieniu Polacy po wszystkich krańcach świata swoje zwyciężkie sztandary jak tu na Somo-Sierrze zatykali.

Cudowna szarża ta nietylko cesarza samego zbudowała, ale wywarła swój czarodziejski wpływ na całe wojsko. Każden na widok każdego z naszych porwany entuzjazmem, przystępował do niego z uszanowaniem winszując mu waleczności Polaków. Niezém nie zdawały się być starym grenadierom gwardyi w porównaniu do naszej szarży, okrzyczane cuda waleczności, których świadkami byli. Zdumieli starzy i dumni ci wojownicy, spełniali na widok naszych przy danej sposobności kubki na

część chevau-legerów. Nietylko pojedynczo z osobna naszym oddawano hołd, ale sam cesarz w bulletynie ogłosił, że Polacy wykonali „charge brillante, s'il en fut jamais.“ Od tego też to czasu pułk nasz zawsze na prawém skrzydle staréj gwardyi stawał. Żałuję bardzo, że mi się wprzód nie zdarzyło wzmiankowanego bulletynu odczytać, gdyż nie chcąc w méj korespondencyi do Thiersa o niczém wspominać, o czém się naocznie nie przekonałem, musiałem go przemilczeć.

Nie na samym bulletynie cesarz się ograniczył, chcąc czynowi nadzwyczajnemu hołd odpowiedni oddać, kazał pułkowi naszemu 1 grudnia w szyku bojowym stanąć, dobyć szabel zatębić un demi-ban i uchyliwszy kapelusz ogłosił pułk za najmężniejszy, salutując go słowami „honneur aux braves des braves.“

Nie mniéj go uczcił nazajutrz korpus marszałka Victora, który widząc pułk nasz obok siebie przechodzący, bez żadnego rozkazu się uszykował i trzy razy wykrzyknął „honneur aux braves.“

Takie to hołdy za pojedyncze swe czyny bohaterskie odbierali Polacy, walcząc pod obcemi znaki za kraj swój od cesarza i swych towarzyszków broni. Niestety! uwielbiany od nas bohater, nie pojął mimo tego potęgi orła białego i ani 1809 ani 1812 r. kiedy do tego miał sposobność nie usłuchał głosu Polaków, nie wyswobodził ich ojczyzny a tém samém nie pozwolił się unosić nad ziemią polską swobodnie orłowi polskiemu, któryby go z pewnością swą potęgą był w nieszczęściu ratował i nie dopuścił aby władzca ten świata później, jak gdyby za karę, ledwie na skałach znalazł schronienie, gdzieby mógł

o swym orle cesarskim tak jak my teraz o naszym tylko rozpamiętywać i wspomnieniami jego żyć.

Przy wspomnianych hołdu oznakach orężowi polskiemu oddawanych nie mogłem wprowadzić być obecnym, lecz są one nie zaprzeczenie prawdziwe i każdemu nieomal uczestnikowi kampanii hiszpańskiej 1808 r. znane, nie mogłem przeto o nich zamilczeć.

Wracam się teraz do Buytrago do lazaretu, dokąd jak już wspomniałem Dziewanowskiego i mnie zawieziono, by pisząc o Somo-Sierrze nie zapomnieć o ostatnich chwilach kapitana mojego. Kiedy bohater ten nie przeżył sławy którą się okrył i nie był uczestnikiem wawrzynów, w których zdobyciu jemu największy udział się należy, to przynajmniej wspominając o ostatnich chwilach jego, oddajmy mu cześć należną.

Do Buytrago jeszcze po nas przez całą noc i 1 grudnia do południa rannych z pobojowiska zwożono. Po południu wywieziono nas do wioski, której nazwiska nie pamiętam, gdzie nas po różnych domach opuszczonych od mieszkańców po kilkunastu złożono. Trudno opisać stanu opłakanego, w którym my się tam znajdowali. Ranni jedni mniej drudzy więcej złożeni w domach, w których gdyby się byli znajdowali mieszkańcy, nie jedenby był litością zbudzony, w gorączce leżącym do gaszenia pragnienia przynajmniej wody podał i chociaż garść słomy pod niego podrzucił. Tam przecież nikogo oprócz le service d'ambulance nie było. Dozorcy zaś sami opici zrabowaniem winem na gołym astrychu nas bez litości złożyli, materace bowiem w ambulansach się znajdujące nie starczyły dla wszystkich. Dziewanowski i ja byli-

śmy przynajmniej tak szczęśliwi, że nas na jednym materacu złożono i jedną derą przykryto. *Dziewanowski* miał lewe ramie strzaskane i już był bez prawej nogi, którą mu zaraz na pobjowisku pod kolano odjęto. Bardzo był słaby, cierpiał wiele na bóle w ramieniu. W nocy wniesli do izby, w którejśmy leżeli *brassero* to jest wielką miedzianą misę czyli garę z węglami które wprzód na powietrzu wypalone służą do ogrzania izby lub komina. Nasi *gar des malades* nie znający takich gar wsepali w owe *brassero* węgli, i jeszcze ich nie wypaliwszy, do pokoju wniesli. Gdyby nie był nadszedł jeden z chirurgów, któren z największym chałasem wpadł na dozorców i *brassero* wyrzucił, bylibyśmy się dostali z rąk lekarzy w ręce grobarzy i *brassero* byłoby dokończyło, czego jeszcze grad kul w szarży nie dokonał. Nazajutrz 2 grudnia przewieziono nas do *Chamartin*, gdzie się znajdowała główna kwatera i dokąd cesarz przybył. Tutaj mieliśmy większą wygodę: było kilka obszernych budynków dokąd z *Madrytu* przywieziono materace i inne potrzeby lazaretowe. W *Chamartin* poznało mnie kilku z służby cesarskiej, którzy mnie jeszcze w *Marrac* widzieli: ci na widok mój pomoc mi swą ofiarowali, a dowiedziawszy się że pomimo ran głodny był, przynieśli wina i innego przekąsku, którem się z *Dziewanowskim* równie głodnym, aczkolwiek bardzo cierpiącym, podzieliłem. Wkrótce po złożeniu nas w jednym z tych domów urządzonych na lazarety, przybył do nas marszałek *Du Roc*, za którym paż cesarza niósł pełną tacę napoleonów. Marszałek oświadczył nam, że cesarz przewidując potrzeby nasze przysłał nam zasiłek pieniężny, abyśmy mogli w pierwszój

chwili takowym zaradzić. KaŜden z oficerów dostał po 10 czy 8, łoźnierz i podobicer po 3 napoleony. Z początku pomimo tego ژهśmy byli ze wszystkiego ogołoceni, wachaliśmy się pieniędzy ofiarowanych przyjąć, mianowicie Dziewanowskiemu zdawało się to dla nas jako Polaków być ubliżającém. Wkrótce jednakowoŝ przekonał nas Du Roc, ژه to tylko jest nadzwyczajny dowód pamięci cesarza o pierwszych potrzebach bohaterów szarzy, która go nad wszelkie wyrażenie zbudowała. Nowy to dowód o ile cesarza szarża nasza uniosła, kiedy nietylko cześć pułkowi oddał, ale i o nas w lazarecie łożonych nie zapomniał. Dnia 3 grudnia przewieziono nas do Madrytu i w klasztorze St. Maria d'Attocha łożono. Tu w lazarecie dobrze urządzonym powierzono nas samemu doktorowi cesarza sławnemu jenerałowi Larrey, którego cesarz wielce powaŝał i o nim w swym testamencie na Śt. Helenie nie zapomniał gdyż mu sto tysięcy franków zapisał i nadmienił ژه jest najciotliwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznał.

Leżałem tam znowu obok kapitana Dziewanowskiego. KaŜden z nas miał materac i przykrycie. Obaj byliśmy bardzo słabi. Dziewanowski przecieŝ więcéj jeszcze jak ja był cierpiącym. Po przywiezieniu nas 3go do Madrytu, Larrey sam nas obydwóch opatrzył. Dziewanowskiemu chciał być jeszcze tego samego dnia rękę odjąć, lecz ژه rana była w saméj łopatce, oświadczył mu, ژه ponieważ musi być z podróŝy zmęczony operacyą do 4go odłóży, mnie zaś głowę ogolić kazał, rany pościągał, dziury od bagnetów po sondowaniu porozrzynał, opatrzył i tak nas zostawił, rozkazując

aby nam nie więcej jak bullion rano i na wieczór dawano. Potrzebna ta dyeta lecz na żołądek zdrów, nie była mi bardzo pożądaną, nie mając już od pięciu dni prawie nie oprócz owego przekąsku w Chamartin w ustach. Całą noc *Dziwanowski* bardzo wiele cierpiał, kilka razy wołałem do niego dozorca, aż nareszcie w bólach na mych rękach skonał. Leżąc obok niego z memi jedenastu ranami ubolewałem najwięcej nad tém, że nie potrafiłem mu być w niczem pomocnym i co chwila tylko tak jak mogłem na jego materac się przechylałem. Śmierć *Dziwanowskiego*, który mnie bardzo był polubił, wielką boleścią mnie przejęła. Uważałem go jak mego drugiego ojca, prawdziwie po ojcowsku on się też mną opiekował, radami i przykładem w życie wojskowe mnie wprowadzając. Cześć niech będzie mężowi, który mężnie walcząc, prawdziwie jako bohater skonał. Nigdy on nad losem swym w ostatnich chwilach nie ubolewał ale przeciwnie cieszył się że się Polacy sławą okryli i że czyn ich ogólnie uwielbiano; cieszył się nadzieją, że tak walcząc wkrótce ojczyznę oswobodzimy i wolną powitamy. Niestety! nadzieje jego i z nim całego narodu nie zostały skutkiem pożądanym uwieńczone.

Krwią polską po wszystkich prawie krańcach świata przelaną nie oswobodziliśmy ojczyzny. Któż nas może przecież za to winować, żeśmy powinność naszą pełnili w nadziei, że z walki nowego światającego świata ze starym świętość naszej sprawy uznaną zostanie, że niszcząc starą budowę społeczeństwa, zniszczemy i zasady na których spoczywała, a które bezkarnie na morderstwo nasze zezwoliły. Ten to tylko a nie inny był powód naszego

zapału w walce z tylu narodami jak n. p. Hiszpanami, którzy mimo, że w świętej sprawie, bo w sprawie swęj samodzielności walczyli, zawsze bronili zasad na których ich państwo spoczywało a przecież tylko ze zniszczenia téj podstawy starego świata we wszystkich państwach europejskich mogliśmy się oswobodzenia naszej ojczyzny spodziewać. Jakżesz by bowiem mógł być nowy porządek bez wskrzeszenia Polski w państwach europejskich na podstawie moralności wprowadzony? Kto nas dla tego chce słusznie osądzić, niechaj zważy, że wszystkie te narody na morderstwo na nas wykonane, obojętnie zezwoliły, a niechaj nas nie sądzi jak mordercy nasi, którzy nie chcąc hańby którą się okryli przyznać, powodu téż złączenia się naszego z cesarzem walczącym nieomal przeciw całej Europie i nowy w niéj porządek zaprowadzającym, pojąć nie chcą.

Po śmierci Dziejnowskiego smutkiem i żalością będąc przejęty, pobyt mój w lazarecie coraz nieznośniejszy mi się wydawał. W skutek tego usposobienia stan mego zdrowia się pogorszył i już w lazarecie wytrzymać nie mogłem, zwłaszcza gdy jednemu z rannych chirurg jakiś zamiast zgruchotanéj, zdrową nogę ale krwią od zgruchotanéj zbroczoną, urznął. Gdy tedy Larrey 10go do mnie tak usposobionego przybył i w skutek pogorszenia stanu ran, operacją głowy na 11go rozporządził, obawiając się nadto aby mi głowy nie trepanował, nie chciałem się takowéj poddać; opuściłem lazaret, a otwarcie mówiąc, uciekłem i do Madrytu się zawlokłem. Tu szczęśliwym trafem spotkałem kapitana grenadierów Laplace, którego byłem poznał w Bayonnie.

Był on teraz adjutantem Sebastyaniego komendanta Madrytu. Opowiedziałem mu moją biedę a on mi po starój znajomości wyrobił kwaterę w Madrycie u markizy Villa Franca. W domu u rodziców nie mogłem być doznać lepszój wygody jak u niej. Doktor domowy mnie opatrywał, niczego nie szczędzono, jedném słowem prawdziwie macierzyńskie i przyjacielskie miano o mnie staranie. Jój to mam do podziękowania, że mi głowy ani operowano ani trepanowano i że po czterech tygodniach już o tyle moje rany były zagojone, żem mógł być wychodzić.

Chociaż ostatecznie w Hiszpanii nie doktor Larrey mnie wyleczył, to jednakowoż wielce mu mam do zawdzięczenia, zwłaszcza że ucieczką z lazaretu w Hiszpanii nie na zawsze z pod jego rąk się wydostałem.

Kilka lat bowiem później roku 1813 los mnie znów w jego ręce i jego opiekę powierzył. W roku tym będąc od cesarza samego z Düben z misją nader ważną do króla neapolitańskiego do Lipska wysłany, aby z wszystkimi połączonemi siłami na Bernadotego maszerował i wstrzymywał go od połączenia się z Schwarzenbergiem, mając zalecony nadzwyczajny pospiech tak dalece, że mi cesarz w przypadku zajęcia mego konia, dwa ze swój stajni obiecał, starałem się misją od samego cesarza mi udzieloną jak najprędzej wykonać i konia mego pędząc ciąglem rozpuszczonym galopem tak dalece zmęczyłem, że tenże po przybyciu mém do Lipska, ledwie com z niego zsiadł, padł i już więcej się nie podniósł. Ponieważ zaś król Neapolu już o połączeniu się Bernadotego z Schwarzenbergiem, kilka godzin

nawet przed moim od cesarza odjazdem był się dowiedział, żądał przeto, nie mogąc się wydziwić pospiechowi z jakim misyą wykonałem, zrobiwszy siedm mil w 3 1/2 godziny, abym natychmiast z powrotem smutną wiadomość o połączeniu się Bernadotego z Schwarzenbergiem cesarzowi zawiózł, ofiarując mi konia z swój stajni. W nadziei że koń króla neapolitańskiego równie tyle wytrzyma co mój, równie z nateżonym galopem z powrotem się na nim puściłem. Koń przecież ten wkrótce po mém ruszeniu padł i ja spadając obojczyk wybiłem, któren mi generał Dr. Larrey wprawił w Lipsku, dokąd mnie cesarską karetą zawieziono; krew mi puścił bannikami i pijawkami piersi obłożył, i tak w Niemczech kilka lat później dostałem się w ręce tego samego doktora z których w Hiszpanii uciekłem, by za powtórne jego o mnie staranie wdzięczną o nim pamięć zachować.

W czasie méj reconvalescencji u markizy Villa Franca, wyszedłszy razu jednego na ulicę spostrzegam kogoś na moim koniu kasztanowatym jadącego, nie mogąc jednak jeźdźca poznać, gdyż jeszcze nie mogłem głowy podnieść, wołam na niego: „stój to mój koń,“ na co jeździec: „zkaż to ma być twój koń, to koń po Niegolewskim.“ Ja mu na to zdziwiony: „to mój koń, przecież ja Niegolewski!“ jeździec nie chce jednak wcale zważać, tylko odpowie: „przecież Niegolewski zginął.“ Teraz mu się dopiero kazałem sobie przypatrzeć i poznaję w nim Ambrożego Skarzyńskiego, ówczesnego porucznika 1go szwadronu a późniejszego generała. On mnie téż poznał i cieszył się niespodziewanej a szczęśliwej chwili że mógł mnie żyjącemu konia oddać.

W kilka dni potem trafiłem na ulicy pułkownika Wierzbińskiego od którego się dowiedziałem, że pułk nasz poszedł z cesarzem przez Guadaramę do Benawenty w pogoń za Anglikami, lecz że w Caramanchel jest szef szwadronu Koziedulski ze wszystkimi słabymi i chorymi oficerami pułku naszego.

Po zupełnem wyzdrowieniu i przyjacielskiem pożegnaniu się w Madrycie z markizą Villa Franca udałem się do Caramanchel ze służącym Pawłem, paziem nazwanym, którego po śmierci Krzyżanowskiego przyjąłem. Dostał on mi się po nim w spuściznie i jego koń, kapelusznikiem zwany a w Poznaniu od jakiegoś kapelusznika kupiony. W tej mej do Caramanchel podróży z spuścizna po Krzyżanowskim, zdarzył mi się dziwaczny wypadek. Paż co chwila stawia z koniem który mu się zrywa i skaka. Wołam na niego co wyrabia, czemu nie jedzie? na co on w przestrachu: „poruczniku, nie widzi pan pana mego? oto koło pana jedzie.“ Ja naturalnie nie widziałem; na jego umysł przecież siła imaginacyjna tak dalece wpłynęła, że mimo wszelkich perswazyi był przekonany, że Krzyżanowskiego widział a strach go tak dalece ogarnął, że kiedyśmy już przyjechali do Caramanchel przed kwaterę Koziedulskiego a oddałem mu konia mego do trzymania: nie mógł koni utrzymać i te z nim galopem przez ulicę puściły się i w mniemaniu że Krzyżanowskiego widział, tém bardziej go utwierdziły.

W Caramanchel zastałem Koziedulskiego szefa szwadronu, kapitanów Trzcińskiego, Piotra Kra-

sińskiego, porucznika Jordana i wielu innych oficerów, których sobie już nie przypominam.

W końcu marca, gdy już wszyscy byli przyszedli do siebie, udaliśmy się przez Guadaramę, Segovią, Vitorią, Chantilly nad Dunaj na kampanią austriacką. Żałuję bardzo żeśmy z Caramanchel nie szli na Somo-Sierre gdyż w ten czas byłbym się mógł z zimną krwią przypatrzyć całej pozycji i wóz ów sławny, który tylko raz jedyny zagrzany zapalem boju wśród morderczego ognia widziałem, byłbym teraz mógł ze wszystkimi szczegółami opisać.

Drogą tą którąśmy szli mógł i cesarz do Madrytu iść. Kilka bowiem tylko marszów na lewo wozu Somo-Sierra na drodze ku Madrytowi Guadarama leży, lecz byłby po za sobą obóz hiszpański musiał zostawić, czego przecież w kraju zrewoltowanym uczynić nie mógł a przede wszystkiem każda chwila była mu drogą, i dla tego nie zważał na żadne przeszkody. Nic mu nie było niepodobnem, byleby się tylko dostać jak najprędzej do stolicy Hiszpanów i tam powagę swoją przywrócić i brata Józefa powtórnie na tronie osadzić, który nie widząc się na tymże umocowanym i nie będąc nadto od marszałków i jenerałów francuzkich słuchanym, widział się być przymuszonym, Madryt po kapitulacji jenerała Dupont pod Bajlen, opuścić.

Po kapitulacji bowiem pod Bajlen w skutek której cała armia andaluzka pod dowództwem jenerała Duponta, który nietylko swój cały korpus ale i jenerała Vedel który jemu z wielkiem wojskiem na posiłek był przysłany pod tak dalece haniebnymi Hiszpanom pod do-

wództwem Castano sa się poddał, iż nietylko Francuzi broń złożyli ale nawet zezwolili na rewizyą swych tornistrów, całą Hiszpanią entuzjazm i zapał do wypędzenia Francuzów z kraju ogarnął, zwłaszcza że już i tak Hiszpanie haniebném obchodzeniem się Napoleona z ich familią królewską w Bayonnie, w swój dumie upokorzeni i do ostatniego rozjątżenia doprowadzeni byli. Teraz dopiero widząc że armia francuzka nie jest nie do zwyciężenia, cały kraj jak żeby w jeden obóz powstańców się zamienił i tylko na pozór Hiszpania była pod wpływem cesarza. Entuzjazm przecież i w samym Madrycie, gdzie brat jego na tronie siedział, tak widocznie się okazywał, że Józef wkrótce po swém osadzeniu się na nim, widząc się od służby nawet swojej z Hiszpanów złożonej opuszczony, już z obawy nie o tron ale o życie swoje, Madryt opuścił. Tę to klęskę kapitulacyą pod Bajlen orężowi francuzkiemu zadaną a w annalach nietylko cesarza ale od początku samej rewolucyi niesłychaną, chciał cesarz jak najprędzej zmazać i na żadne przeszkody nie zważając, najprostszą drogą do Madrytu dążył, by jak najprędzej sławę oręża francuzkiego zrehabilitować. Przeciwno przyjmującą kapitulacyą generałom był on tak zagniewany, że kiedy ci na Kadyx do Francyi się wrócili, w pierwszém rozjątżeniu chciał ich kazać rozstrzelać, przecież pod sąd oddani, byli tylko z wojska usunięci. I tak w Hiszpanii Dupont, który parę lat przed tém świetnemi wawrzynami w kampanii niemieckiej w Prusach się okrył, znalazł grób dla swój sławy i jest na przyszłość generałom przykładem, że w każdym razie lepiej zginąć z orężem w rękę jak haniebnie się poddać. Nie

Duponta samego zresztą była wina, że chory, ranny, wojska przy 40 stopniach ciepła do przeboju wśród Hiszpanów ze wszech stron go otaczających nie spowodował. Więcej bowiem przewinił sam cesarz, który mało zważając na miłość narodu każdego, do samodzielności i wolności, myślał że kraj cały podbił, osadzając na tronie z którego Burbunów strącił, brata swego Józefa. Nie zważając na to, że tron tylko wtenczas mocny, kiedy król z narodem jedno ciało i jedną duszę stanowią: ograniczył on się na tém, że kilka oddziałów wojska swego na poparcie brata na tronie w Hiszpanii pozostawił. Teraz to dopiero pałając żądzą już to przywrócenia orężowi francuzkiemu sławy, już to by brata swego na tronie osadzonego utwierdzić, wyruszył sam na czele licznój armii do Hiszpanii. Tój to armii szwadron nasz przez wzięcie wąwozu drogę do Madrytu utorował.

W pochodzie z Hiszpanii pod Wiedeń zdążyliśmy do pułku dopiero po batalii pod Wagram z wielkim żalem żeśmy w niej udziału nie mieli, gdyż nasz pułk wraz z pułkiem francuzkim chasseurów konnych pod dowództwem jenerała Krasieńskiego 45 armat zabrał, 4 pułki kawaleryi a między niemi pułk ułanów Schwarzenberga prawie zniósł.

Taka to jest historia cheveau - legerów polskich, jedno oni pole bitwy opuszczali by na drugiem nowe orężowi polskiemu wawrzyny zdobywać. Thiers przecież, który śmiał nam Somo-Sierre wydrzeć, nie wie albo raczej nie chce wiedzieć o tych nowych pod Wagram przez pułk nasz zdobytych wawrzynach i woli zamilczeć o trofeach armii francuzkiej zdobytych, by tylko nie być przymuszono-

nym czei należnej orężowi polskiemu oddać. Tak prze-
niósłszy szwadron z Somo-Sierry do Wagram, gdzie
sobie nawet przypominam Wasilewskiego dokazują-
cego na tym samym gniadym koniu, któremu pod Somo-
Sierra kula trzy przednie zęby wyrwała, kończę moje
wspomnienie o pamiętnój téj szarży.

* *

Spodzielam się mój szanowny kolego że mnie o skę-
pstwo żądanych odemnie wiadomości nie posądzisz. Prze-
niósłszy się w lata młodości a do tego do Somo-Sierry
prawie nie podobna pióra na wodzy utrzymać. Wszy-
stkie wspomnienia naraz się żywo przedstawiają, każde
drogie jest méj pamięci, trudno z zimną krwią w posród
nich przebywać. Jakież téż to są wspomnienia? muszą
one się prawie teraz snem na jawie wydawać. A prze-
cież ich nikt jeszcze wiernie nie opisał.

Któreż téż to pióro ów lot błyskawicy naszego szwa-
dronu, który wśród gradu kul jednym pędem kanonierów
rąbał, armaty zabierał i wawoz zdobył, opisać potrafi?
Któż wreszcie ciasny i kręty ów wawoz już nie obwaro-
wany ale cały w jedną maszynę piekielną obrócony,
wystawić zdoła? Któż jeżeli nie Ty szanowny kolego,
który w młodości orężem a teraz piórem władasz, który
nadto 30 listopada 1808 r. świadkiem byłeś nieśmiertel-
nego czynu i masz go przekazać historyi? Polskie téż to
pióro tylko może wiernie sławę polskiego oręża oddać.
Żaden z pewnością inny naród nie pojmując miłości oj-

czyzny, która nas na owe skały zapędziła, nie pojmie téj cudownej szarży i z obawy by prawdziwe jój oddanie bajeczném się nie wydawało, ujmie heroizmowi szwadronu by wzięcie wąwozu bardziejję pojęciom ludzkim przystępne uczynić, tak jak Thiers, który nietylko nie mógł pojąć aby szwadron mimo tego morderczego ognia się nie miał zatrzymać, ale nawet wzięcie jego licznym szwadronom przypisał.

Co się ostatniój Twój wzmianki o obrazach téj szarży tyczy, to Lejeuna nie znam i o nim nic powiedzieć nie umiem. Verneta posiadam i zgadzam się z Tobą że nie jest historycznym, gdyż nawet rzecz po batalii, którą oczywiście ma przedstawiać, nie historycznie oddaje, wystawiając na nim osoby, które w szarży udziału nie miały, jako głównie figurujące. Grupa złożona z D'Autencourta, Krasieńskiego, Koziedulskiego i jakiegóś jeszcze oficera zupełnie nie stósowna. Koziedulski wprowadzie jedyny, który szarżę rozpoczął i tylko z przyczyny zabitego konia się cofnął, ma prawo do figurowania na obrazie, batalią pod Somo-Sierra wystawiającym. Krasieński pułkownik pułku naszego i gros major D'Autencourt Francuz, przecież żadnego udziału w szarży nie mieli. Czwarty zaś obok nich, mający jak się dorożumiewać wypada przedstawiać oficera szwadronu 3go, zupełnie nie odpowiada prawdzie historycznej, gdyż jak już powiedziałem wszyscy oficerowie którzy byli w szarży czynni albo poginęli, albo leżeli w lazaretach. Żaden przynajmniej po batalii nie mógł w paradzie występować. Równie nie historyczne jest wystawienie oficerów z kitkami na czapkach, a tém samém i Kozie-

dulskiego z złamaną kitką, w dniu bowiem tym mglistym mieliśmy czapki ceratami pokryte.

Oprócz Vernet'a posiadam jeszcze rycinę obrazu malowanego przez Belangé, ten ostatni jest historycznym i przedstawia rzecz w prawdziwém świetle. Na wąwoz pod górę pędzą chevau-legery czworką, kolumną marszową; na wąwozie i na skałach widać pozabijane konie i poległych chevau-legerów. Tuż przy wąwozie stoi cesarz na koniu, a w jego bliskości Bessiers. Obydwaj zadumani z wyteżonym wzrokiem na skały, szarżującym się przypatrują. Po za cesarzem widać liczne wojska francuskie. Nie prawdziwie przecież wystawia nas z lancami, kiedy my takowe dopiero rok później po kampanii austriackiej w Paryżu dostali, dokąd my z Chantilly na paradę przybyli. Na paradzie téj każdy oficer dostał książeczkę z instrukcją po francuzku mustry z lancami i za tydzień już my się z nimi na paradzie popisywali. Przyznać trzeba, że malarz, pominąwszy małą tę niehistoryczność, rzecz szczęśliwie uchwycił i oddał. Po skałach i wśród szarżujących leżący i spadający chevau-legery i konie, świadczą o morderczym ogniu który pędzących przecież nie wstrzymuje. Armia francuska opodał stojąca, znaczenie i ważność szarży przedstawia; nie mogąc bowiem tylko tą jedną drogą przez góry do Madyrytu się dostać, oczekuje na utorowanie téj drogi przez szarżujących chevau-legerów. Przedewszystkiém historyczne i prawdziwe miejsce zajmuje cesarz tuż przy wąwozie na szarżujących się przypatrujący. Z pewnością jego przytomność wiele wpłynęła na świetne wykonanie szarży.

Tak nawet o obrazach przez ciebie wzmiankowanych nie zapomniawszy, nie pozostaje mi teraz nic więcej jak z głębi serca Ci przedsięwzięcia Twego napisania pamiętników powinszować. Jest to z pewnością najpiękniejsze powołanie podać w dojrzałym wieku potomności czyny których nietylko się świadkiem w młodości było, ale w których jak Ty, czynny brało się udział. Oby Ci Bóg w Twém przedsięwzięciu dodał wytrwałości i pozwolił aby pamiątka naszych wysiłen i poświęceń bez granic ożywiającym była duchem dla przyszłych pokoleń a nie zaginęła, na które to niebezpieczeństwo opisaniami Francuzów jest wystawiona. Oni to w swych książkach, nie wiem czy z zazdrości by wawrzynów z nami nie dzielić, czy ze wstydu że ich cesarz nie odpowiedział zaufaniu przez Polaków w nim pokładanemu, starają się nietylko czyny nasze w niepamięć puszczać, ale nawet śmieją oręża naszego blask zaciemniać.

Tak to główny historyk konsulatu i cesarstwa śmie w księdze XXXV, (Wagram) opisując kampanię 1809 roku temi słowami się o nas odezwać: „Le prince Joseph Poniatowski, ce héros long-temps endormi dans la molesse, et à l'exemple de beaucoup de ses compatriotes, retenu inactif aux pieds des belles femmes de son pays, venait de se reveiller au bruit des armes françaises, et avait embrassé, comme on s'en souvient, la cause de la France, qu'il croyait avec raison celle de la Pologne, si la Pologne pourrait renaitre.“

Śmie historyk ten mimo naszej ciągłej walki z wrogami, którzy kraj nasz rozszarpali, mimo tylu świetnych czynów waleczności w służbie francuzkiej dokonanych,

z którą orla naszego połączyliśmy, w przekonaniu że walczy w imieniu nowego społeczeństwa a tém samém niszczy zasady które nas zamordowały, zarzucać nam gnuśność i zniechęcałość; śmie on powątpiewać o możliwości odrodzenia się Polski. I czyni to właśnie opisując kampanię 1809 r. w której Poniąkowski z małą garstką Polaków bez wszelkiej pomocy Francuzów, cudów waleczności naprzeciw wiele liczniejszemu nieprzyjacielowi dokazywał. W tym to roku książę Józef z swemi 9,000 Polaków nietylko bronił granic nowo utworzonego księstwa warszawskiego ale zdobył on tą małą garstką całą Galicyą i tak bez pomocy Francuzów odebrał jednemu z przywłaszczycieli Polski łup jego zbrodniczy, a genialnemi swemi planami z walecznością bohatera wykonanemi, trzymał arcyksięcia Ferdynanda z jego 38,000 Austryaków tak dalece w ciągłych karpach, że nie mógł iść w pomoc arcyksięciu Karolowi pod Wagram przeciw Napoleonowi. Kto wie jakiby był wypadek batalii téj, której losy i tak się już bardzo ważyły, gdyby tam były walczyły i owe przez księcia Józefa wstrzymane 38,000 arcyksięcia Ferdynanda. Z pewnością byłaby batalia pod Wagram, którą Thiers za tak stanowczą w historyi cesarstwa uważa, iż swą księgę XXXV opisującą kampanię 1809 r. uzczył jój godłem, inne skutki dla cesarza za sobą pociągnęła. Pomimo tego znacznego wpływu księcia Józefa na los batalii pod Wagram i całą kampanię austryacką, pomimo że i pod samem Wagram oręż polski sławą się okrył, śmiał Thiers w swęj księdze Wagram przytoczonemi słowy o Polakach się odezwać, waleczność zaś, którą się Polacy okryli w téj sa-

mój księdze Wagram edukacyi francuzkiej przypisując, mówiąc że to byli ci sami Polacy, którzy początek edukacyi wojskowej w szkole francuzkiej odebrali. Zaiste nie wiedzieć, czy chciał historyk ten usprawiedliwić, że cesarz nietylko o księciu Józefie i o księstwie przez siebie utworzoném zapomniał i bez wszelkiej pomocy zostawił, ale że nie przyłączył kraju Galicyi przez księcia Józefa tylko Polakami zdobytego, do księstwa warszawskiego, lub téż czy zapomniał historyk ten o tém, że Polacy już przed jego edukacją francuzką walczyć umieli, że ich wodzowie państwa od upadku ratowali, że ich Żółkiewski, Gosiewski z małą garstką tam dotąd zwycięzko dotarł, gdzie Napoleon swój grób znalazł. Nie szkoła francuzka ale żądza oswobodzenia ojczyzny była matką waleczności Polaków. Z więćej przecież jak czołem wytartém śmiał historyk ten połączenie się orła naszego z orłem cesarskim, tylko zachciance cesarza mienia w gwardyi swojej ludzi rozmaitych narodów i strojów, przypisywać. I miał beczelność, nawet nas na równi z Mamelukami stawiać, opisując wzięcie wawozu pod Somo-Sierra.

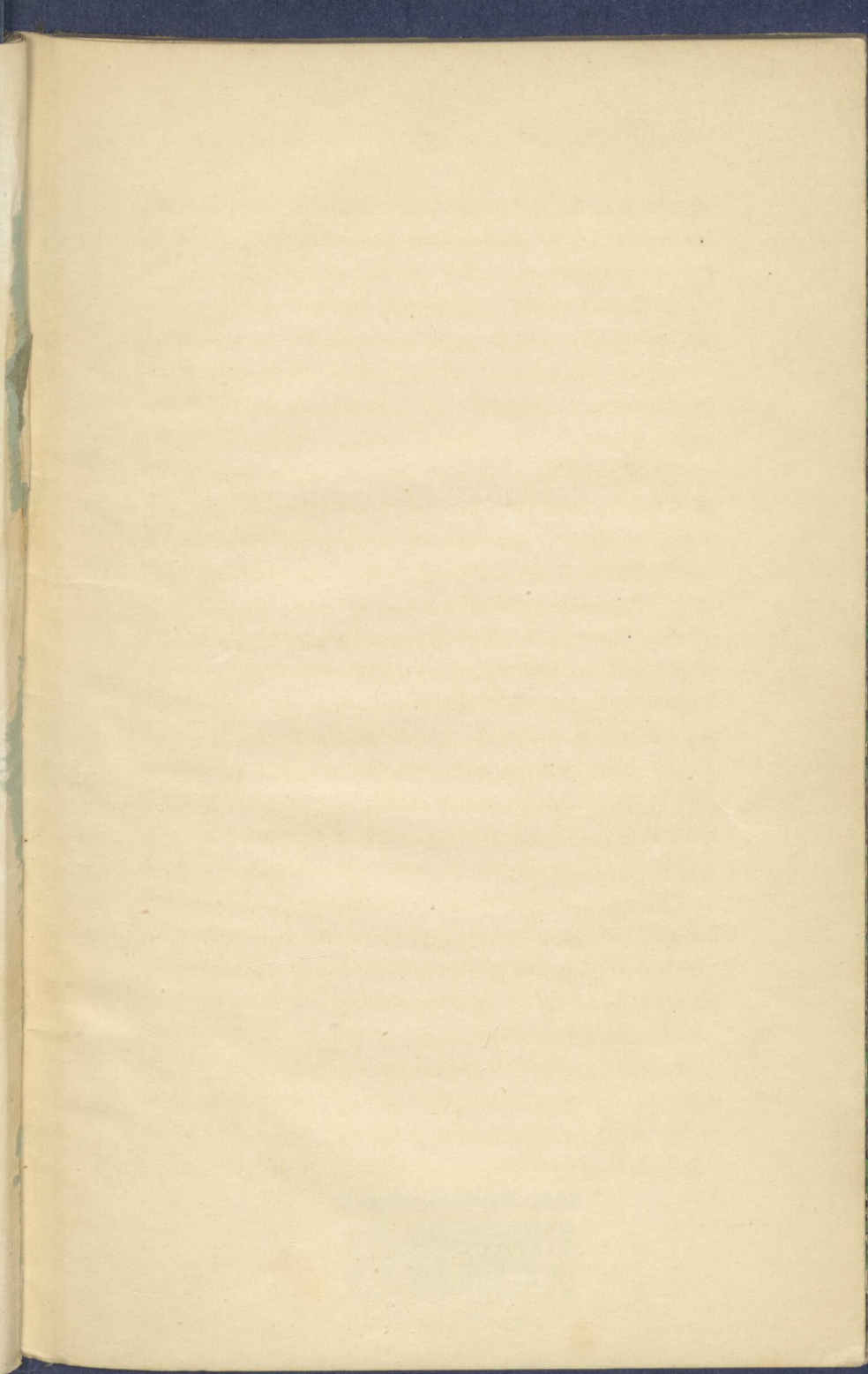
Obyś przeto szanowny kolego pisząc Twe pamiętniki oddał nietylko należną cześć orężowi polskiemu ale i Francuzom fałszującym historią naszą nie dozwolił niewdzięczności ich ku nam usprawiedliwiać i z historii naszej świetnej bajki układać. Rzeczywiście bowiem Thiers hołdując pojmovaniu znaczenia historii przez swego współrodaka Voltaira utrzymującego, że historia jest bajką którą każdy podług swych widoków politycznych układa, wystawia nasz naród jako niedołężny i nie mo-

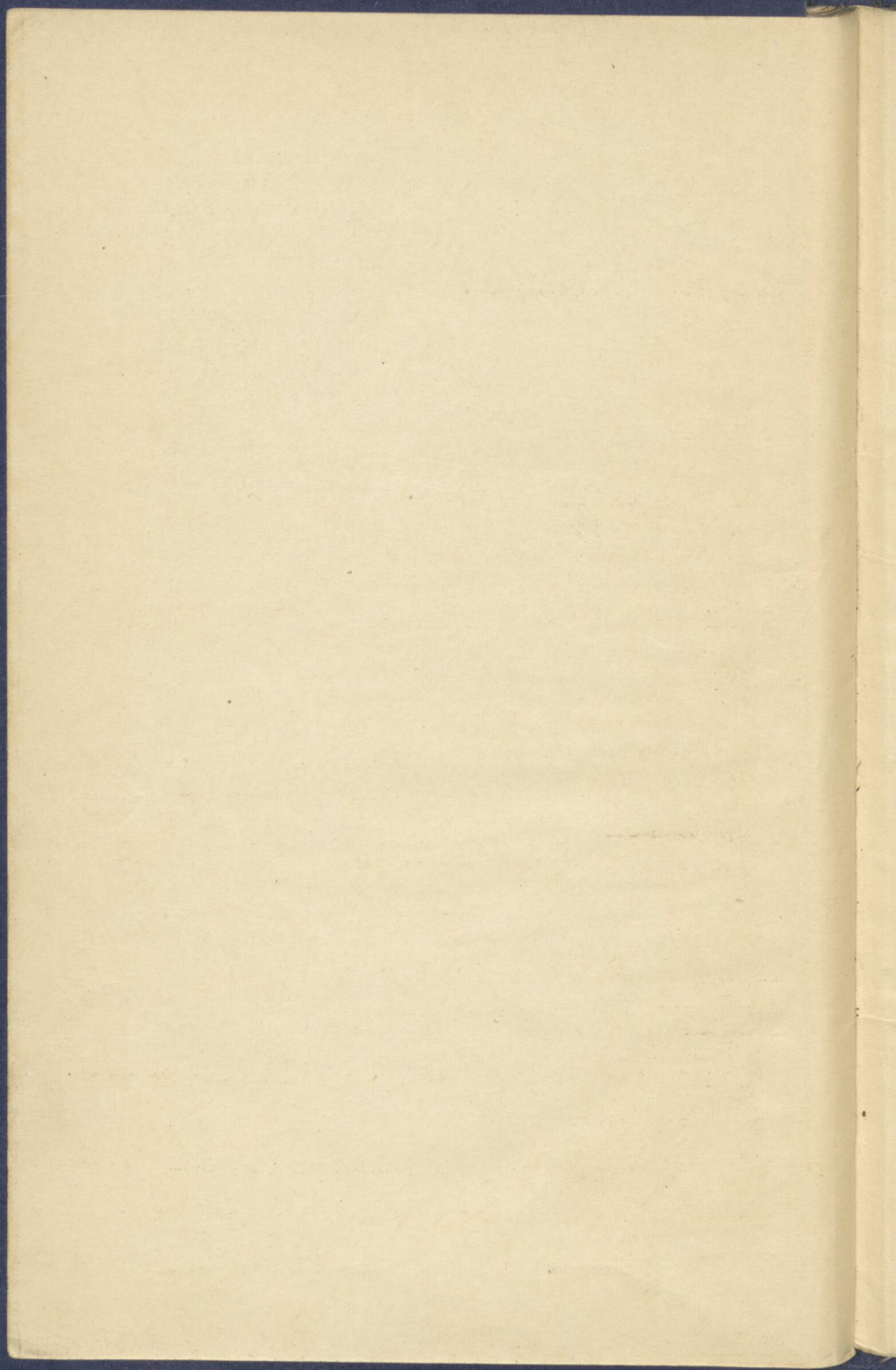
gący odzyskać samodzielności, by i cesarza usprawiedliwić
z jego nie wywiązania się z zaufania w nim przez Pol-
ków pokładanego, i zniszczyć sympatyą ludu francuzkiego
dla P o l s k i.



Wszystkie sąsiadki, by i reszta napowiadają
i go nie wzięły, są zadowolone, że im przez to
nie przeszkadza, i nie robią im żadnego

88





Introligatornia
Uniwersytetu
Poznańskiego
w coll. minus

BOOKKEEPER 2008



BG0486283

